

# Ślady pamięci.

Wojtkowiaków

służba

ojczyźnie

marynarz

aspirant

delegat





Praca zbiorowa

# **Ś L A D Y   P A M I Ę C I**

Wojtkowiaków służba ojczyźnie

Nekla, czerwiec 2013 r.

Praca zbiorowa pod redakcją Jerzego Osypiuka

Projekt okładki: Jacek Papla

Na okładce: por. mar. Józef Wojtkowiak, aspirant Tomasz Wojtkowiak  
oraz Józef (senior) i Walenty Wojtkowiakowie

Korekta: Krystyna Jagodzińska

Projekt graficzny i skład komputerowy: Artur Kaczmarek

Nieopisane zdjęcia zamieszczone w opracowaniu pochodzą w większości z archiwów rodzinnych Wandy Troman, Mariana Wojtkowiaka, Bogdana Wojtkowiaka, Tadeusza Walenczaka oraz Eugenii Jüngst.

W pozostałych przypadkach zaznaczono źródło pochodzenia fotografii.

Serdecznie dziękuję Pani Wandzie Troman i Panu Marianowi Wojtkowiakowi za napisanie wspomnień, udostępnienie bogatych zbiorów fotografii rodzinnych, obszerną korespondencję oraz cierpliwość w wyjaśnianiu szczegółów związanych z historią rodziny. Panom Tadeuszowi Walenczakowi, Bogdanowi Wojtkowiakowi za udostępnione fotografie i informacje o rodzicach. Panu Maciejowi Jüngstowi za fotografie z rodzinnego archiwum. Panu Michałowi Pawełczykowi za udostępnione artykuły. Panu Mariuszowi Borowiakowi za fotografie okrętów, konsultacje historyczne i pomoc merytoryczną przy redagowaniu wspomnień Wandy Troman.

Szczególne podziękowania kieruję pod adresem Dyrekcji Narodowego Archiwum Cyfrowego w Warszawie za nieodpłatne udostępnienie zdjęć archiwalnych oraz zgodę na ich opublikowanie.

*Jerzy Osypiuk*



**Gmina Nekla**

ul. Dworcowa 10  
62-330 Nekla  
tel. +48 614386011  
fax +48 614386490  
nekla@gminanekla.pl  
www.nekla.eu

**Nekielskie Stowarzyszenie Kulturalne**

ul. Poznańska 25, 62-330 Nekla  
www.nsk.nekla.eu  
www.oledry.nekla.eu

Nakład: 500 egz.

**Wydawnictwo**

**Imagine Design Group Anna Kwiatkowska**

ul. Radzikowskiego 100/57  
31-315 Kraków  
tel./fax 12 353 01 68  
e-mail: idg@idgreklama.pl  
www.idgreklama.pl

ISBN 978-83-63036-19-5

## Spis treści

Wstęp .....	7
Józef Wojtkowiak (1869 – 1944), delegat do Polskiego Sejmu Dzielniczowego w Poznaniu w 1918 r. <i>Michał Pawełczyk</i> .....	9
Tomasz Wojtkowiak s. Józefa (1910 - 1940), aspirant Policji Państwowej. <i>Michał Pawełczyk</i> .....	13
Porucznika marynarki Józefa Wojtkowiaka-Aldermana notatki ze służby na morzach w <i>opracowaniu Wandy Troman z d. Wojtkowiak (córka)</i> ....	17
Rodzinna Nekla .....	18
W Kaiserliche Marine.....	20
Pięć miesięcy w III Batalionie Morskim .....	24
Kanonierki.....	25
CNF (Chantiers Navals Français). Pijemy Calvados.....	28
Pani Szełfowa.....	32
Kontrtorpedowce .....	39
Ostatnie dni pokoju .....	48
Wyjazd na Malte .....	50
ORP Piorun .....	55
Na obcych wodach .....	60
Pożegnanie .....	67
Nekla, świat mojego dzieciństwa. <i>Marian Wojtkowiak</i> .....	73
Wojtkowiakowie – informacje o rodzinie. <i>Marian Wojtkowiak</i> .....	95
Zakończenie.....	105





## WSTĘP

Znajomość historii i losów ludzi, dawnych mieszkańców Nekli, jest bardzo ważnym elementem budowania tożsamości i patriotyzmu współczesnych obywateli naszego miasta i Gminy, a szczególnie młodego pokolenia. Celem projektu „Ślady pamięci. Wojtkowiaków służba ojczyźnie”, w którym uczestniczą potomkowie rodziny Wojtkowiaków, jest uświadomienie współczesnym mieszkańcom ciągłości historycznej pokoleń. Bohaterowie wydarzeń sprzed 95 i 68 laty prowadzili zwyczajne życie. Jednak historia tak pokierowała ich losem, że dzisiaj stają się podręcznikowymi postaciami godnymi upamiętnienia. Zaufanie mieszkańców Nekli i okolic, jakim obdarzano Józefa Wojtkowiaka - seniora, wybierając go delegatem do Sejmu Dzielnicowego w Poznaniu w grudniu 1918 r., świadczy o jego niezwykłym autorytecie wśród współmieszkańców. Nie mogła to być kandydatura przypadkowa. Najmłodszy z rodu Wojtkowiaków - Tomasz, zwyczajny wydawałoby się policjant, nie zginął w otwartej walce z wrogiem, ale od skrytobójczego strzału w tył głowy w lochach sowieckiej siedziby NKWD w mieście Kalinin, dzisiejszym Twerze. Spoczywa w tzw. katyńskich grobach w Miednoje. Najstarszy z synów, Józef, związał swoje życie z polskim morzem, wstępując po odzyskaniu niepodległości do Polskiej Marynarki Wojennej. Musiał charakteryzować się wielką fachowością, wykazać się wielkimi umiejętnościami technicznymi i odpowiednimi cechami charakteru, skoro przełożeni oddelegowali go do prac komisji nadzorujących budowę okrętów dla PMW w stoczniach Francji, Wielkiej Brytanii i Holandii. Od 1937 r. służył na ORP *Błyskawica*, a w czasie wojny na ORP *Garland* i ORP *Piorun*, który wsławił się odnalezieniem i nawiązaniem kontaktu bojowego z największym niemieckim pancernikiem *Bismarck*. Wymienione wyżej osoby, do niedawna zupełnie zapomniane w naszym środowisku, zasługują na pamięć kolejnych pokoleń.

Jerzy Osypiuk  
Nekielskie Stowarzyszenie Kulturalne



**Michał Pawełczyk**

**Józef Wojtkowiak (1869 – 1944),  
delegat do Polskiego Sejmu Dzielnicowego w Poznaniu  
w 1918 r.**

Jesienią 1918 roku Niemcy uświadomili sobie, że wywołanej wojny, pierwszej wojny światowej, nie mogą wygrać. Dalsza walka to straty ludzkie i ekonomiczne. Rozwój rewolucji komunistycznej w Rosji powodował powstanie tak niebezpiecznych dla monarchy – cesarza Wilhelma II - ruchów rewolucyjnych. Wielkopolska będąca wówczas oficjalną prowincją Prus, dostrzegła możliwość wyswobodzenia się z okowów zaboru, tym bardziej, że tuż za Strzałkowem powstawało na bazie zaboru rosyjskiego państwo polskie. Już w listopadzie powstają elementy lokalnych rządów polskich w formie Rad Robotniczo – Żołnierskich.



Pierwsze posiedzenie Polskiego Sejmu Dzielnicowego 3 grudnia 1918 w Poznaniu

Konspirujący wówczas Polacy uzgodnili, że aby mieć legitymację do działań należy zwołać sejm, ograniczony terytorialnie do ziem zaboru pruskiego. Obrady sejmu zwołano na 3-5 grudnia 1918 r. w sali kina Apollo w Poznaniu. Zgromadzenie nazwano Polskim Sejmem Dzielnicowym. Należało wykonać gigantyczną pracę organizacyjną w krótkim czasie, bowiem wybory do Sejmu Dzielnicowego połączono z wyborem do Rad Ludowych. Należało przeprowadzić je do 1 grudnia. Prawo do udziału i głosowań mieli rodacy, którzy ukończyli 20 rok życia.



Pochód Sejmu Polskiego 3 grudnia 1918 r w Poznaniu

Walne zebranie przedwyborcze dla wyborów do Polskiego Sejmu Dzielnicowego odbyło się w Nekli w niedzielę 24 listopada 1918 r. o godz. 15.00 w sali p. Szurkowskiego. Na zebraniu należało wybrać delegatów z obwodu Dominowo, gdyż tam znajdowała się siedziba lokalnej władzy, której administracyjnie podlegała Nekla.

Obecny na zebraniu Feliks Wize, właściciel majątku ziemskiego w Dzierżnicy, zaproponował na przewodniczącego zebrania hrabiego Zygmunta Żółtowskiego z Nekli, co zostało gremialnie zaakceptowane przez zgromadzonych na sali. Dokonano wyboru ławników. Hrabia Żółtowski zagaił wiec, a następnie odczytał referat o sytuacji światowej. Kolejno dokonano wyboru po 3 delegatów do Rady Ludowej i do Sejmu Dzielnicowego. Reprezentantem Nekli w Polskim Sejmie Dzielnicowym wybrano Józefa Wojtkowiaka. Obwód dominowski reprezentowali również Wacław Waliszka, włościanin z Biskupic i Feliks Wize - właściciel Dzierżnicy.

W czasie zebrania poruszono sprawę polskiego szkolnictwa. W szczególności podkreślano potrzebę nauki języka polskiego i religii w języku polskim. Wiec zakończono odśpiewaniem „Boże coś Polskę”.

Polski Sejm Dzielnicowy zakończył posiedzenie uchwałami. Przyjęto uchwały, między innymi wyrażającą wolę połączenia ziem wschodnich prowincji niemieckich z pozostałymi zaborami w zjednoczonej Polsce, wybrano nowy skład Naczelnej Rady Ludowej (NRL), liczącej osiemdziesiąt osób, co oznaczało oficjalne jej zalegalizowanie oraz organ wykonawczy – Komisariat Naczelnej Rady Ludowej i Prezydium. Niestety, Naczelna Rada Ludowa zdominowana została przez elementy umiarkowane, co rzutowało później na przebieg walk. Nawiasem mówiąc, Naczelna Rada Ludowa nigdy się nie zebrała.

Warto przybliżyć sylwetkę posła reprezentującego Neklę w tak ważnej chwili odzyskiwania niepodległości po długim okresie zaboru. O nim bowiem Wacława Maślińska, autorka opracowania „Nekla w latach mojego dzieciństwa i wczesnej młodości 1900 – 1918”, tak napisała:

*Wśród robotników folwarcznych wyróżniał się Wojtkowiak, jego dwaj synowie byli moimi kolegami szkolnymi. Ich ojciec był „na pańskim włodarzem”, ale i rzecznikiem wszystkich mieszkańców Zawodzia. Liczono się z nim; liczył się i dwór, i wszyscy ówcześni robotnicy rolniczego majątku.*

O nim też wspominała Zofia Czerniak:

*„Dzieci, które przechodząc obok niego, nie pozdrowiły go słowami „Niech będzie pochwalony...” zostały przez niego zawrócone i musiały przejść ponownie, tym razem z pozdrowieniem.*

*Był śmiały i bezkompromisowy. Na dłuższe przemówienie nekielskiej hrabiny Żółtowskiej o konieczności stosowania ścisłego postu, w tym nie polewanie tłuszczem ziemniaków, odpowiedział obcesowo: A kto bardziej pości, my, jedząc ziemniaki polane skwarkami czy też pani hrabina jedząc ryby smażone na masełku?”.*

Tym sposobem bycia zawsze ujmował miejscową społeczność. Nie dziwne zatem, że gdy przyszedł czas wyborów, to jemu powierzono mandat.

Józef Wojtkowiak mieszkał w domu dla robotników rolnych przy ul. Zawodzie, w tzw. czworaku razem z rodzinami Bandoszów, Tabaków, Kasprowskich.

Rodzinne gniazdo Wojtkowiaków to Stroszki i okolice. Tu bowiem urodzili się jego ojciec Stanisław i dziadek. Józef przyszedł na świat 24.02.1869 r. w wielodzietnej rodzinie. Był synem Stanisława i Ludwiki z Sikorskich. Ojciec (9.04.1833 – 1895) był fornałem w majątku w Stroszkach. Jego żona a matka Józefa - Ludwika (10.08.1836 – 1900) - pochodziła z Poświętnego koło Giecza. Małżeństwo dochowało się sześciorga potomstwa. Mieli Rozalię, zamężną Maciejewską, Andrzeja, który wywędrował do Hamburga, Franciszkę, zamężną Antkowiak, Wiktorię, zamężną Strzeszyńską, Jadwigę, zamężną Górczyk, która emigrowała do USA i Józefa, delegata do Sejmu Dzielnicowego. Józef Wojtkowiak szkołę powszechną ukończył we Wrześni. Został powołany do służby wojskowej w pruskim wojsku. W dniu 21.01.1894 r. ożenił się z urodzoną w dniu 17.09.1874 r. Marianną Cichońską z Targowej Górki. Ojciec Marianny, Ignacy Cichoński, urodził się w Tarnowie koło Kostrzyna (zmarł w Stroszkach), a matka, Jadwiga z domu Nowacka pochodziła z Targowej Górki.

Józef Wojtkowiak pracował jako robotnik przy budowie i konserwacji kanału Kilońskiego, poszerzanego dwukrotnie w latach 1895 i przed I wojną światową. Jako robotnik rolny, a później wozak w majątku w Stroszkach i wreszcie po ślubie w 1894 r. jako palacz w nekielskiej gorzelni, a po zakończeniu kampanii, konserwator urządzeń gorzelnianych. Pracował też jako władarz (nadzorca robotników rolnych) w nekielskim majątku Żółtowskich.

Wykonywał też różne narzędzia gospodarcze oraz wypłatał kosze z wikliny.

Znając doskonale urzędowy wówczas język niemiecki, parał się tłumaczeniem i pisanem listów, pism urzędowych. Sam doskonale orientował się w aktualnej sytuacji w kraju, abonując gazety.

Należał do stowarzyszenia Strzelec i do Rady Kościelnej. Był skarbnikiem Bractwa Różańcowego w Nekli. Jego patriotyczne przekonania były w pewnym sensie przyczyną śmierci, bowiem okupant niemiecki w ramach represji odmówił mu leczenia przewlekłego owrzodzenia karku.

Zmarł z tego powodu 8.01.1944 r. w Nekli, gdzie został pochowany. Jego grób znajduje się na nekielskim cmentarzu. Jego żona Marianna zmarła 6.11.1959 r. w Gdyni i tam na cmentarzu witomińskim została pochowana.

W małżeństwie Wojtkowiaków urodziło się dziesięcioro dzieci, z czego wiek młodzieńczy przeżyło siedmioro, w tym córka Aniela, zamężna Walenczak. Troje dzieci: synowie Michał i Wincenty oraz córka Ludwika zmarli wkrótce po urodzeniu.

W dniu 20.02.1898 r. urodził się syn Józef, późniejszy porucznik marynarki. Pozostali to Jan, ożeniony z Zofią Kapcińską, Ludwik, Franciszek, Tomasz urodzony w dniu 18.11.1910 r., posterunkowy Policji Państwowej, zamordowany w 1940 r. w Twerze i Walenty urodzony w Nekli 3.02.1913 r.

**Tomasz Wojtkowiak s. Józefa (1910 – 1940),  
aspirant Policji Państwowej**

Tomasz Wojtkowiak, urodzony 18.11. 1910 r. w Nekli, syn Józefa (posła na Sejm Dzielnicowy w Poznaniu z 1918 r.) i Marianny z Cichońskich, uczęszczał do nekielskiej szkoły. Angażował się w życie społeczne Nekli. W 1930 r. został wybrany wiceprezesem Stowarzyszenia Młodzieży Polskiej. Stąd wywędrował w świat i wybrał zawód policjanta. Do policji został przyjęty 15.10.1936 r. w charakterze kandydata kontraktowego ze stopniem szeregowca. Kandydat musiał spełnić pewne wymagania, miał co najmniej 170 cm wzrostu.

Służba przygotowawcza w policji była służbą kontraktową, podczas której pracownik otrzymywał żołd 8 gr dziennie i dodatek służbowy 45 zł miesięcznie.

W dniu 14.12.1937 r. ukończył policyjną Normalną Szkołę Fachową dla Szeregowych Policji Państwowej w Mostach Wielkich pow. żółkiewski. Stąd skierowany został do woj. poleskiego i przydzielony na posterunek w Wysokiem



Litewskim pow. brzeski. Nie stracił kontaktu z Neklą, którą często odwiedzał. Tu, w Nekli, zaręczył się z nekielską panną. Wojna przerwała jednak te kontakty. W czasie działań wojennych 1939 r. aresztowany przez NKWD, trafił do sowieckiej niewoli i przebywał w obozie jenieckim w Ostaszkowie. Z Ostaszkowa przesłał jeszcze ocen-zurowaną pocztówkę z informacją, że czuje się świetnie. Polscy policjanci transportowani byli do Ostaszkowa z obozów przejściowych. Ostaszkowo to miejscowość położona 300 km na północny zachód od Moskwy. Obóz ostaszkowski miał być obozem policyjnym o obostrzonym rygorze. Obóz mieścił się na wyspie Stołbny na

jeziorze Seliger. Warunki pobytu były haniebne, jeńcy spali na gołych deskach a o jakichkolwiek warunkach sanitarnych trudno mówić. W ciasnych, zarobaczonych blokach było brudno i wilgotno. 92 osoby zmarły po miesiącu. Niedożywienie, ciężka praca i zimno powodowa-



ły liczne choroby. Na wniosek Berii Biuro Polityczne na swym posiedzeniu w dniu 5 marca 1940 r. podjęło decyzję o najwyższym wymiarze kary wobec wszystkich polskich jeńców przetrzymywanych w obozach, a także wobec 11 tysięcy Polaków przetrzymywanych w więzieniach w zachodnich obwodach Białorusi i Ukrainy. Na wniosku Berii osobistym podpisem potwierdzili swą aprobatę: Stalin, Woroszyłow, Mikojan i Mołotow. Protokolant dopisał, iż „za” byli też nieobecni na posiedzeniu Kalinin i Kaganowicz.

Likwidacja obozu w Ostaszkowie rozpoczęła się 4 kwietnia i trwała do 19 maja 1940 r. Nad sprawnym przebiegiem operacji czuwał funkcjonariusz centrali NKWD Błochin.

Codziennie partie jeńców pędzono do stacji kolejowej Soroga, gdzie upychano ich w wagonach więziennych i przez Bołogoje transportowano do Kalinina (obecnie Twer) do siedziby zarządu NKWD. Ze stacji w Kalininie byli oni przewożeni karetkami więziennymi do Zarządu Obwodowego NKWD przy ul. Sowietkiej i tam do zmroku przebywali w celach znajdujących się w jego podziemiach.

Po zmroku rozpoczynały się rozstrzeliwania, które trwały do świtu. W jednym z pomieszczeń piwnicznych przystrojonym propagandowymi afiszami sprawdzano personalia skazanego, skuwano go i przeprowadzano do znajdującej się obok celi śmierci, której drzwi były wyłożone wojłokiem. Ofiarę mordowano strzałem w tył głowy. Zwłoki wynoszono na dziedziniec i układano w samochodach ciężarowych (oczekiwało ich 5 lub 6).

Ciała pomordowanych wywożono o świcie samochodami do lasu nad rzeką Twercą koło Miednoje, gdzie znajdował się ośrodek wypoczynkowy NKWD, a następnie zrzucano do dołów w lesie. Zamordowano w ten sposób 6287 osób.

W dniu 20.04.1940 r. wśród rozstrzelanych znalazł się Tomasz Wojtkowiak. Pochowany został w Miednoje. Figurował tam w wykazie jeńców pod numerem 037/4 z dnia 20.04. 1940 r.

W tym dniu zamordowano –398 więźniów.





O tym jak wyglądały egzekucje w Kalininie, zeznał w 1991 r. przed rosyjskim prokuratorem ppłk. Anatolijem Jabłokowem emerytowany generał sowieckich służb specjalnych Dymitrij Tokariew, który w 1940 r. był naczelnikiem Obwodowego Zarządu NKWD w tym mieście.

Oto fragmenty:

*„Odpowiedzialni pracownicy przybyli z Moskwy do kierowania tą operacją, a między nimi byli: starszy major bezpieczeństwa państwowego Nikołaj Siniegubow – były szef Głównego Zarządu Kolejowego, Błochin, komendant NKWD ZSRR oraz kombrig Krywienko – dowódca Głównego Zarządu Wojsk Konwojowych. [...] Wymienieni przeze mnie Błochin, Siniegubow i Krywienko mieszkali w wagonie-salonce, który stał na stacji, na ślepych torze. [...] Łącznie około 30 osób uczestniczyło w rozstrzeliwaniach. [...] Sam Błochin brał udział. [...] Rozstrzeliwanie było wykonywane przez kierowców i zwierzchnictwo. [...] Technologia była wypracowana przez Błochina, tak, i komendanta naszego Zarządu NKWD Rubanowa. Obili oni wołokiem drzwi wychodzące na korytarz, by nie było słychać strzałów w celach. Następnie wyprowadzali skazanych – tak będziemy mówić – przez korytarz, skręcali w lewo, gdzie była „czerwona świetlica”. W czerwonej świetlicy sprawdzali według listy – czy zgadzają się dane. [...] Niezwłocznie zakładali mu kajdanki i wprowadzali do celi, gdzie dokonywano rozstrzelania. Ściany celi też były obite materiałem dźwiękochłonnym. [...] Wprowadzali do celi i strzelali w potylicę. [...] Błochin włożył swoją odzież specjalną: brązową skórzaną czapkę, długi skórzany brązowy fartuch, skórzane brązowe rękawice z mankietami powyżej łokci. Na mnie wywarło to ogromne wrażenie – zobaczyłem kata! [...] Pierwszy raz przywieziono 300 ludzi. Okazało się, że za dużo. Noc była krótka i trzeba było kończyć już o świcie. Następnie zaczęto przywozić po 250. [...] Z waltherów. To dobrze wiem, gdyż przywieźli ich całą walizkę. [...] Okazuje się, że pistolety szybko się zużywają. [...] Cóż, niewielki pokój. [...] Z tej celi było wyjście na podwórko. [...] Tamtędy wyciągali trupy, ładowali na*

*samochód i jechali. [...] Brezentem wszystko się nakrywało. [...] Gdy podniosłem problem robotników potrzebnych do kopania grobów, wyśmiano mnie. Naiwni dziwacy. Koparka potrzebna! [...] Błochin przywiózł ze sobą dwóch operatorów koparki. [...] Każdy, po każdej operacji, ile tam było rozstrzelanych walili do jednej kupy wszystkich, do jednego dołu. [...] To z miesiąc najwidoczniej trwało. [...] A gdy już zakończyli tę całą brudną sprawę, to moskwianie urządzili w swoim wagonie-salonce coś w rodzaju bankietu. [...] Widowisko to było najwidoczniej okropne, skoro Rubanow postradał zmysły, Pawłow, mój zastępca, zastrzelił się, sam Błochin – zastrzelił się. Oto, co to wszystko znaczy.”*

Źródło:

[http://kanada.net/war/vengeance\\_pl.html](http://kanada.net/war/vengeance_pl.html)

\* \* \*

W listopadzie 2007 roku, decyzją prezydenta RP Lecha Kaczyńskiego, zamordowani w 1940 r. przez NKWD w Katyniu, Charkowie i Twerze oficerowie i funkcjonariusze otrzymali pośmiertne awanse na wyższe stopnie wojskowe i służbowe. Wśród nich Tomasz Wojtkowiak z posterunkowego na aspiranta Policji Państwowej.

## **Porucznika marynarki Józefa Wojtkowiaka-Aldermana notatki ze służby na morzach**

***w oprac. Wandy Troman z d. Wojtkowiak (córka)***

Porucznik marynarki Józef Wojtkowiak służył w Polskiej Marynarce Wojennej (PMW) od 2 sierpnia 1920 roku do czasu jej rozwiązania na terenie Wielkiej Brytanii 23 sierpnia 1947 roku, pracując i walcząc w granatowym mundurze marynarskim na morzach i oceanach świata. Niestety, okoliczności polityczne w których się urodził, wychował i pracował, zmusiły go do założenia pierwszego marynarskiego mundurku we flocie wojennej cesarza Wilhelma II w Wilhelmshaven, a ostatniego w angielskim handlowym towarzystwie okrętowym Lampport & Holt w Liverpoolu.

Zachował się w domu rodzinnym mundur marynarski jako rzecz bardzo cenna dla mojego ojca. Wiedząc, że nie wróci do ukochanej ojczyzny, jego życzeniem było, żeby mundur z okresu służby w PMW wraz z innymi pamiątkami trafiły do Muzeum Marynarki Wojennej w Gdyni.

Marynarskie życie mojego ojca prowadziło od wód Bałtyku do wód Urugwaju. Jego mottem życiowym było: „Fachowość i dokładność”. Po latach, kiedy spotykałam się w Londynie z jego przełożonymi i kolegami, którzy służyli w polskiej flocie wojennej, potwierdzali tę dewizę. Komandor Stanisław Nahorski, legendarny dowódca niszczyciela ORP *Błyskawica*, powiedział: „Znałem bardzo dobrze Pani Tatusia (zawsze mówił «Tatusia»), to był bardzo rzetelny człowiek z wielką fachową wiedzą”. Komandor porucznik Brunon Jabłoński, ostatni dowódca okrętu podwodnego ORP *Wilk* tak wspominał po latach: „Pani Ojciec był człowiekiem fachu, fachowcem pierwszej klasy”. Komandor Stanisław Dzienisiewicz, jeden z najbardziej bojowych dowódców w historii PMW w latach II RP, wspominał: „Ja z Pani Ojcem pływałem, był bardzo dzielny i odpowiedzialny człowiekiem, a do tego bardzo utalentowanym”. Natomiast Wiesław Krzyżanowski, redaktor „Naszych Sygnałów”, pisma Stowarzyszenia Marynarki Wojennej w Londynie, tak zapamiętał J. Wojtkowiaka: „Pani Ojciec chwalebnie służył w PMW”.

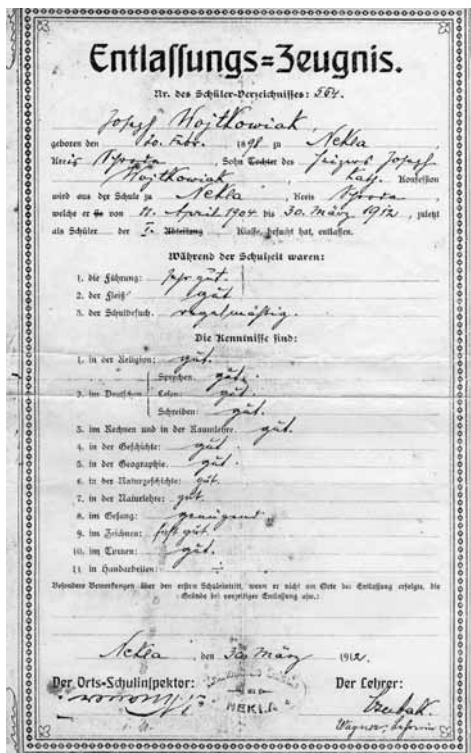
Również angielscy współpracownicy ze stoczni J.S. White w Cowes wyrażali się pochlebnie o moim ojcu. H.G. Carey (dyr. budowy okrętów) mówił o jego lojalności, rzetelności i energii, które to zalety mogłyby go doprowadzić daleko, ale wybuchła wojna i życie potoczyło się w innym kierunku. Dyrektor mech. A. Hoare uważał mojego Ojca za człowieka prawego, rzetelnie pracującego dla firmy i dla PMW. F.S. Billowes BE (Tech. Delegate) napisał, że był to człowiek lojalny i oddany swej pracy.

## Rodzinna Nekla

Józef Wojtkowiak urodził się w Nekli, powiat Środa, 20 lutego 1898 r. W tym czasie ta część Polski znajdowała się pod zaborem pruskim. Poznań nazywał się Posen, Środa – Schrode, jedynie Nekla nie miała niemieckiej nazwy. Rodzicami mojego ojca byli: Józef Wojtkowiak senior (ur. 24 lutego 1869 r. w Stroszkach, pow. Środa, zm. 8 stycznia 1944 w Nekli, został pochowany w Nekli) i Marianna z domu Cichońska z Targowej Górki (ur. 17 września 1874 r. w Targowej Górcie, pow. Środa, zm. 6 listopada 1959 r. w Gdyni, pochowana na cmentarzu witomińskim). Ślub moich dziadków odbył się 21 stycznia 1894 r. w Targowej Górcie.



Zapis aktu ślubu Marianny i Józefa Wojtkowiaków. Źródło Arch. Parafii w Targowej Górcie



Świadectwo ukończenia szkoły w Nekli w 1912 r.

Ojcem Wojtkowiaka seniora był Stanisław Wojtkowiak ur. 9 kwietnia 1833 r. w Stroszkach, żonaty z Ludwiką Sikorską ur. 10 sierpnia 1836 r. w Poświętnem k. Giecza, pow. Środa. Wiadomo, że matka Stanisława nazywała się z domu Fromholtz.

Ojcem Marianny Cichońskiej był Ignacy Cichoński ur. 16 stycznia 1844 r. w Tarnowie k. Kostrzyna w Wielkopolsce, zm. 2 listopada 1913 r. Był ujeżdżaczem koni w stadninie w Stroszkach. Jego żoną była Jadwiga Nowacka (ur. 10 sierpnia 1842 r. w Targowej Górcie, zm. 26 maja 1940 r. tamże).

Matką Jadwigi Nowackiej była p. Raczyńska, ze szlacheckiego rodu Raczyńskich (ur. w 1820 r., zm. w 1882 r.). Pani Raczyńska pochodziła z tej samej rodziny co Edward – był założycielem w 1829

roku Biblioteki Raczyńskich w Poznaniu i fundatorem Złotej Kaplicy w Poznańskiej Katedrze. Jako bardzo młoda panienka poznała nauczyciela jazdy konnej z Tarnowa, z którym związała swoje dalsze życie. Ten mezalians spowodował, że musiała żyć w zupełnie innych warunkach niż reszta jej rodziny. Wnukowie Raczyńskiej wyrosli z dala od bogatych krewnych, ale odziedziczyli pewne cechy charakteru i wyglądu, łącznie z bystrym intelektem.

Józef Wojtkowiak junior ukończył szkołę powszechną 30 marca 1912 roku z wynikiem bardzo dobrym. Wszystkie przedmioty w szkole były wykładane w języku niemieckim, którym Józef posługiwał się biegle od dziecka, tylko w domu i w kościele mówiono po polsku. Ojciec często służył do mszy świętej. W szkole wyróżniał się zdolnością do przedmiotów ścisłych, szczególnie matematyki, ale warunki w których żył, nie pozwalały mu na dalszą edukację. Czasami nauczyciel zlecał mu prowadzenie lekcji matematyki w niższych klasach. Stało się tak za sprawą pewnego incydentu. Podczas lekcji Józef poprawił nauczyciela. Cała klasa zamilkła. Nauczyciel, inteligentny człowiek, ze zrozumieniem przyjął to zdarzenie. Nazajutrz polecił Józefowi poprowadzić lekcję, a sam poszedł do wsi po zakupy. Historia ta powtarzała się dosyć często. Ludzie we wsi zaczęli opowiadać, że Józef zostanie nauczycielem matematyki. Często po lekcjach Józef, a potem także młodszy bracia musieli pracować za marny grosz u bogatszych gospodarzy.

1 kwietnia 1914 roku Józef Wojtkowiak junior zaczął się uczyć zawodu ślusarza i kowalstwa w Kostrzynie. Świadectwo członka Cechu Wspólnego w Kostrzynie otrzymał 1 października 1917 roku po odejściu do przymusowej służby wojskowej w pruskiej marynarce wojennej. Świadectwo to było pierwszym krokiem do dalszych prac na polu techniczno-mechanicznym.



Świadectwo czeladnicze w zawodzie kowala. Kostrzyn 1917 r.

## W Kaiserliche Marine

1 kwietnia 1917 roku podczas I wojny światowej Józef Wojtkowiak, jako 19-letni rekrut-czeladnik ślusarski, przyjechał do Hamburga, powołany do odbycia zasadniczej służby wojskowej. Bardzo bolesne było dla Józefa rozstanie z matką, pozostałymi członkami rodziny i Neklą. Wszystko co miał najdroższego, musiał zostawić. Zaczęło się nowe, nieznane życie, które zapoczątkowało okres wojen i rozstań. Początkowo przebywał w koszarach dla rekrutów w Wilhelmshaven. Służba dla Polaka nie była łatwa z powodu niemieckiej propagandy. Ojciec musiał słuchać wykładów o doktrynie hrabiego Raventlowa, znanego wówczas pisarza na tematy morskie, który pochwalał zatapianie statków handlowych przez cesarskie okręty podwodne (U-Booty). Uważał, że statki te mogą przewozić amunicję lub wojsko i powinny być torpedowane. W rzeczywistości tak nie było, ale Niemcy na to nie zwracali uwagi. Tego typu polityka była podtrzymywana przez rząd, nawet po odejściu jej największego zwolennika admirała Alfreda von Tirpitz w marcu 1916 roku. Von Tirpitz miał duży wpływ na rząd, do tego stopnia, że nawet po odejściu ze służby wojskowej (był twórcą marynarki wojennej Rzeszy Niemieckiej) nowy minister marynarki admirał Eduard Von Capelle i ówczesny kanclerz Bethmann Hollweg, chociaż sami byli przeciwni polityce zatapiania neutralnych statków z powodu obawy przed reakcją USA, w dalszym ciągu używali U-Bootów do atakowania bezbronnych statków handlowych. Niemcy chwalili się swoją bezwzględnością, opowiadając rekrutom o zatopieniu na Atlantyku *Lusitanii* w maju 1915 roku, francuskiego statku *Ville de La Ciutat* i należącego do P&O pocztowego statku *Persia*.

Józef modlił się, żeby nie otrzymać przydziału na okręty podwodne. Zdawał sobie sprawę, że służba na innych jednostkach bojowych Kaiserliche Marine również nie jest łatwa. Wiedział o wyczynach *Möwe*, statku zbudowanego do przewozu owoców, który podczas I wojny światowej został uzbrojony w działa artyleryjskie i przystosowany do napadów na bezbronne statki handlowe.

Okazało się, że techniczny talent Józefa pomógł mu w przetrwaniu najtrudniejszych dni i tygodni w Wilhelmshaven. Nie wszyscy byli nieprzyjaźnie nastawieni wobec Polaków. Ojciec - jak już wspomniałam - od dziecka mówił w języku niemieckim i posiadał zdolności techniczne. Przełożeni zauważali jego talent do nauk ścisłych i odesłali na kursy mechaniczne i warsztatowe. Tego typu sytuacja była powodem zazdrości i nienawiści wśród niektórych pruskich rekrutów. Na tym tle dochodziło później do bójek między moim ojcem a innymi marynarzami. W Wilhelmshaven przeszedł on pierwszy trening z musztry marynarskiej, potem zaczął uczyć się zawodu palacza. Była to bardzo ciężka i niebezpieczna służba, bo w wypadku trafienia nieprzyjacielską torpedą nie było nadziei na ucieczkę dla tych członków załogi, którzy pracowali w maszynowni i kotłowni okrętu.

Polacy nie mogli, jak to było w zaborze rosyjskim, awansować na stopień oficerski, jeżeli nie mieli powiązań rodzinnych z Niemcami. Z drugiej strony ci bardziej uzdolnieni mogli otrzymać doskonałe wykształcenie techniczne.

Takie wykształcenie otrzymał Józef, okazało się mu bardzo pomocne w pracy w PMW. Dowództwo Kaiserliche Marine nie było wrogiem edukacji, wręcz przeciwnie, starsza kadra oficerska zachęcała młodych i zdolnych marynarzy oraz podoficerów do zdobywania kwalifikacji.

Józef Wojtkowiak, po odbyciu szkolenia rekruckiego, służył krótko na lekkim krążowniku *Emden*. Okręt został zbudowany w stoczni AG Weser w Bremen w latach 1914-1916; miał wyporność 7125 ton i osiągał maksymalną prędkość 27,7 węzłów. W okresie późniejszym służył on na okręcie *Nymphe*, zbudowanym w latach 1898-1900 w stoczni Germania w Kiel (Kilonia). Do 1914 roku *Nymphe* była jednostką wojenną przeznaczoną do obrony wybrzeża. Od 1916 roku ten krążownik pancernopokładowy był wykorzystywany jako koszary dla rekrutów i okręt treningowy. Po odbyciu stażu Wojtkowiak został przydzielony jako palacz do flotyli okrętów torpedowych na *S-16* i *V-159* na Morzu Północnym.

Torpedowiec *S-16* został zbudowany w stoczni F. Schichau w Elbingu (Elbląg) w latach 1911-1913; miał wyporność 695 t, długość 71,5 m, szerokość 7,34 m, osiągał maksymalną prędkość 34 węzły. Okręt został zwodowany 20 kwietnia 1912 roku. Wszedł do służby 1 października 1912 roku, a w 1917 roku służył we flotyli okrętów patrolowych. Od 1917 roku Wojtkowiak pływał jako palacz na torpedowcach.

W czasie wojny na morzu pewnego dnia, podczas burzy, fala zmyła Józefa z pokładu *S-16*, ale następna, jakby wspomagająca, przywróciła go na okręt. Od tej pory zaczął wierzyć, że życie jego będzie związane z morzem i że na morzu znajdzie szczęście.

Podczas służby Józef, dzięki skromności i taktowi, był na ogół dobrze traktowany przez kolegów. Jednak jeden z nich, niestety, bardzo zazdrościł odniesionych sukcesów. W drugiej połowie stycznia 1918 roku na torpedowcu *S-16* zdarzył się wypadek. Niemiec, znający Józefa jeszcze z czasów służby w Wilhelmshaven i na *Nymphe*, chciał wepchnąć go do paleniska. Wcześniej wielokrotnie dochodziło między nimi do rękoczynów w koszarach w Wilhelmshaven. Tym razem powodem było otrzymanie przez Józefa wyróżnienia po ukończeniu kursu palaczy. Już wcześniej, podczas służby unitarnej, w trakcie trwania treningu na schodach i drabinkach okrętowych, ów Niemiec stojąc na górze, a Józef na dole drabinki, złośliwie pchnął nogą drabinkę, tak, że wszyscy rekruci powalili się jeden po drugim na Wojtkowiaka. Wypadek ten bardzo pokaleczył Józefowi kostki nóg, nie mógł chodzić przez 2 tygodnie. Bosman nadzorujący szkolenie śmiał się do rozpuku z tego „dowcipu”.

Podczas walki na śmierć i życie Józef zdecydował, że Niemiec żadną siłą do paleniska go nie wepchnie. Został uderzony rozżarzonym haczykiem w prawą nogę (szrama została na całe życie). Koledzy rozdzielili walczących. Po przybyciu do Hamburga Józef został odesłany do szpitala. Leczył go rodak z Poznania. Niemiecki lekarz radził Józefowi tylko leżeć w łóżku, nie chodzić dużo i odpoczywać w sali szpitalnej. Natomiast zaprzyjaźniony lekarz z Wielkopolski zalecał Józefowi uprawiać gimnastykę, dużo chodzić i przebywać na

świeżym powietrzu. Mówił: „Ty, synku, słuchaj mnie, a szybko wyzdrowiejesz, więc rób tak, jak ja ci radzę”. Józef posłuchał rad doświadczonego lekarza i bardzo szybko rana na nodze się zagoiła.

Torpedowiec *S-16* wyszedł na patrol i 20 stycznia 1918 roku o godz. 18.15 na Morzu Północnym w pozycji o współrzędnych 54°41' N i 06°32' E wszedł na minę. Zginęło 80 członków załogi. Józef ocalał, w tym czasie leczył w szpitalu okaleczoną nogę.

Przedstawiciele niemieckiej komisji marynarki wojennej zaproponowali ojcu kilkumiesięczny, zaawansowany kurs z techniki, matematyki i prac warsztatowych. Szkolenie ukończył z wynikiem bardzo dobrym. Niemcy chcieli zatrzymać ojca na stałe, obiecując mu karierę wojskową. Kolejny staż odbył na torpedowcu *V-159* (zbudowany w stoczni AG Vulcan w Stettin [Szczecin] w 1917 r.; wyporność 1236 t, maksymalna prędkość 32,5 w).

Na torpedowcu zdobył dalszą wiedzę o morzu, powiększył umiejętności dotyczące oprządkowania okrętu i poznał skomplikowany system urządzeń kotłowych i maszynowych. Dzięki zdobytej wiedzy na niemieckim okręcie wojennym, 22 lata później wykorzystał posiadane umiejętności na stanowisku



Józef ze stryjecznym rodzeństwem w Hamburgu



Józef Wojtkowiak junior, Hamburg 1918

II oficera mechanika na niszczycielu *ORP Piorn* w walce z pancernikiem *Bismarck*. W końcu został przeniesiony do 6. Kompanii I. Dywizjonu Okrętów Podwodnych. Nie wziął udziału w patrolu bojowym. Po zakończeniu wojny, w listopadzie 1918 roku, wziął udział



**Führungszeugnis.**

Der Hr. H. Jozef Wojtkowiak Jozef

geboren am 12. Februar 1897 zu Stille Kr. Herten

Streis Herten Regierungsbezirk Posen Bundesstaat Preußen

hat vom 1. April bis 12. Juni 1919

bei der 6. Komp. 1. Torped. Division

gebient und sich während dieser Dienstzeit gütlich geführt.

**Strafen:**

a) Gerichtliche Strafen:

Keine

b) Disziplinarbestrafungen mit strengem Arrest.

Keine

Frei am 12. Juni 1919

A 108

Świadcstwo ukończenia służby  
w pruskiej flocie. 1919

w kolejnych szkoleniach na lądzie.

W Hamburgu osiedlił się brat Ojca Józefa - Andrzej Wojtkowiak, który miał dwie córki i dwóch synów. Starszy syn wracając z Francji w 1918 roku, uległ wypadkowi. Gdy pociąg wjechał na stację kuzyn postanowił zeskoczyć na peron. Poślizgnął się i wpadł pod koła pociągu, zginął na miejscu. Na peronie czekał na niego Józef z wujkiem Andrzejem.

Józef Wojtkowiak został zwolniony do cywila 12 czerwca 1919 roku, o czym świadczy dokument demobilizacyjny, który informuje o nienagannej służbie (Führungszeugnis) nr. 134/17. Zgodnie z treścią świadectwa: „Palacz flotyli torpedowców Józef Wojtkowiak, obywatel pruski, służył w cesarskiej flocie od 1 kwietnia 1917 do 12 czerwca 1919

roku i zakończył służbę z ogólną oceną bardzo dobrą i nigdy nie był karany”.

Krótko po otrzymaniu zwolnienia z pruskiej marynarki wojennej Wojtkowiak wyjechał z Kilonii do pracy w kopalni w Westfalii. Miał tam krewnych ze strony matki - siostra Rozalia Matuszak mieszkała w Herten. Po trzech tygodniach przeprowadził się z Herten do Bochum. Po odbyciu szkolenia zapisał się 27 sierpnia 1919 roku na członka Cechu Wspólnego Górników w Bochum (Allgemeiner Knappschafts- Derrein zu Bochum) i odebrał zaświadczenie nr W 72079, które dawało mu prawo do otrzymywania pensji.

Praca w kopalni zapewniała dobre warunki finansowe oraz możliwość otrzymania szybkiego awansu. W kopalni panowały dobre warunki pracy. Józef przebywał do pierwszych dni lutego 1920 roku w Bochum. Nie widział jednak przyszłości dla siebie w Niemczech. Praca w kopalni węgla kamiennego w Westfalii nie satysfakcjonowała byłego palacza z Kaiserliche Marine, szczególnie wtedy, gdy Polska po 123 latach niewoli odzyskała wolność. Wrócił do Nekli. Zakończyła się przymusowa służba w cesarskiej flocie wojennej i pobyt w Niemczech.

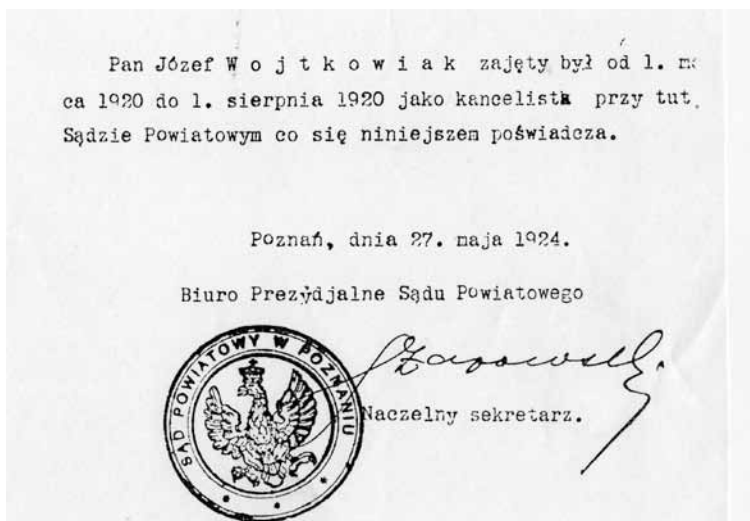
## Pięć miesięcy w III Batalionie Morskim

Pierwsze dni w Nekli były trudne. Po dwóch tygodniach pobytu w rodzinnej miejscowości dostał tymczasową pracę w cegielni, a potem od 1 marca do 1 sierpnia 1920 roku pracował jako kancelista w Sądzie Powiatowym w Poznaniu. Zachował się z tamtego okresu następujący dokument (oryginalna pisownia):

*„Prezes Sądu Apelacyjnego, 1 D IV Gen 330, Poznań. 19 V 1920. POWOŁANIE. Powołuję Pana z dniem 1 V 1920 na nieetatowego kancelistę sądowego do Sądu Powiatowego w Poznaniu, za dyetami płatnymi miesięcznie z dołu, równającymi się poborom klasy 14, wedle dekretu Komisarjatu Naczelnej Rady Ludowej, o klasyfikacji urzędników z dnia 31 VII 1919 (Tyg. Urzęd. 34-19) i z miesięcznem wypowiedzeniem. Zaadresowane do Pana Józefa Wojtkowiaka przy Sądzie Powiatowym w Poznaniu”.*

Po odejściu z pracy otrzymał następujące zaświadczenie:

*„Pan Józef Wojtkowiak zajęty był od 1 marca 1920 do 1 sierpnia 1920 [roku] jako kancelista przy tutejszym Sądzie Powiatowym co się niniejszym potwierdza. Poznań, dnia 27 maja 1924 [roku]. Biuro Prezydyjalne Sądu Powiatowego. Podpisał Naczelny Sekretarz Zaporowski.”*



Zaświadczenie o pracy w Sądzie Powiatowym w Poznaniu

Na wieść o powstawaniu polskiej marynarki Józef Wojtkowiak zgłosił się 2 sierpnia 1920 roku na ochotnika do służby w PMW i tego dnia został włączony do III Batalionu Morskiego I Pułku Morskiego w Toruniu. Był jednym z kilku, którzy mieli doświadczenie morskie, więc dowódca batalionu kapitan marynarki Włodzimierz Steyer zatrzymał go przy sobie. Tak pisze w pamiętniku: *„III Batalion Morski wobec braku ludzi został sformowany później - dopiero 12 sierpnia 1920 r., jego dowódcą został kpt. mar. Steyer Wł. Mój III Batalion był na wojnie z bolszewikami.”*

W okolicach Brodnicy grasowały bandy bolszewickie, starające się przedostać do Prus Wschodnich. Po zajęciu Brodnicy przez III Batalion część marynarzy, w tym i Wojtkowiak, otrzymali zadanie udania się za granice miasta, żeby poszukać nieprzyjaciela. Zrobiło się ciemno. Kiedy zobaczyli zbliżających się konnych, pędzących wprost na nich, serca ich mocniej zabiły. Zaczęła się strzelanina, ale szybko obie strony wystrzelały swoje zapasy amunicji. Nagle ukazał się przed nimi wielki parkan czy płot, coś w rodzaju muru. Żaden z koni nie chciał tego przeskoczyć. Do tego wszystkiego żadna strona nie miała już naboju, więc zostały im tylko szable. Wojtkowiak i jeszcze paru innych popędzili wzdłuż muru, ścigając się z biegnącymi z drugiej strony bolszewikami, obrzucając się nawzajem w trzech językach; polskim, rosyjskim i niemieckim, niecenzuralnymi epitetami. Dalej rozdzieliła ich rzeka. Grupa Wojtkowiaka wróciła do Brodnicy. Za potyczkę pod Brodnicą, dzielność i wykazanie inicjatywy w bojowej sytuacji Józef Wojtkowiak dostaje medal Na polu chwały. Walcznym 1920. Za udział w wojnie bolszewickiej otrzymał też medal Polska swemu obrońcy 1918-1920.

W październiku tego roku żołnierze batalionu wrócili do Torunia, gdzie spędzili czas na ćwiczeniach. Wojtkowiak każdą wolną chwilę poświęcał na naukę języka polskiego, uczył się historii i dużo czytał. Język polski znał dobrze w mowie, ale był przyzwyczajony pisać po niemiecku, tak jak ci z carskiego zaboru byli przyzwyczajeni do języka rosyjskiego. Pięć miesięcy, które spędził w III Batalionie Morskim, wspominał bardzo mile, a szczególnie wyżywienie, które było o wiele lepsze niż to, które musieli jeść pod przymusem i bez narzekań w cesarskiej flocie.

## Kanonierki

Ojciec, po zakończeniu wojny polsko-bolszewickiej, został przeniesiony do Pucka, gdzie zameldował się 7 grudnia 1920 roku. Od 1921 r. zaczął służyć jako starszy marynarz mechanik na ORP *Mewa*, poniemieckim trałowcu zakupionym w Danii. Wchodził w skład załogi maszynowej, która udała się po odbiór okrętu z Gdańska. Po przybyciu jednostki do Pucka w 1921 roku poznał się z legendarnym działaczem



W połowie lat 20. XX wieku bosmanmat J. Wojtkowiak był kierownikiem maszyn na trałowcu ORP *Mewa*.

*Fot. ze zbiorów Mariusza Borowiaka*

niepodległościowym na Pomorzu w latach 1917-1920 księdzem Józefem Wryczą (1884-1961) i od tego czasu często służył do mszy świętej.

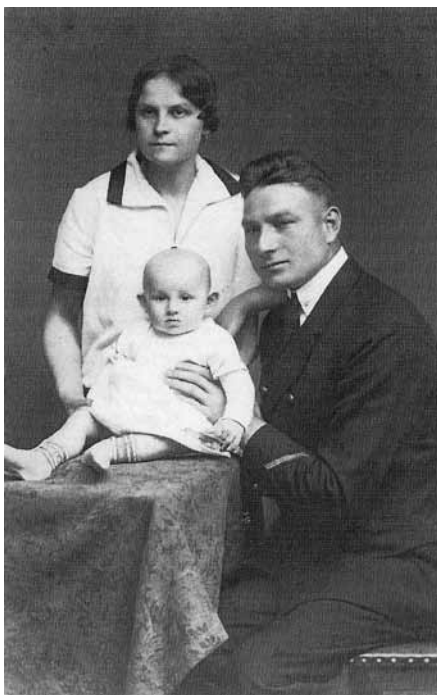
W listopadzie 1924 roku z ramienia PMW został skierowany służbowo do Gdańska. Bardzo dobrze znał język niemiecki i posiadał odpowiednie przygotowanie techniczne po kursach w marynarce niemieckiej. W związku z budową Polskiej Składnicy Tranzytowej na Westerplatte przedstawiciele PMW często udawali się tam w sprawach służbowych. Pewnego dnia Józef Wojtkowiak idąc ulicami miasta, został zaatakowany w biały dzień przez młodych wyrostków niemieckich, którzy nie mogli znieść widoku polskiego munduru. Był silniejszy od napastników, więc ich odpędził, a że mówił po niemiecku lepiej od nich, to się jeszcze bardziej rozżalili. Świadkiem incydentu był policjant z Gdańska, który widząc napad odwrócił się i udał, że nie widział chuligańskiego zajścia. Wypadki napadów na polskich marynarzy w mundurach zdarzały się w Gdańsku dosyć często i w końcu wszyscy wyjeżdżający służbowo do Gdańska otrzymali polecenie, żeby ubierali się po cywilnemu.

15 listopada 1924 roku Józef Wojtkowiak podczas pobytu w Gdańsku udał się do zakładu fotograficznego „Fotohaus, Ahstalt Erich Schwartz. Danzig” i poprosił o zrobienie fotografii w mundurze PMW. Fotograf nie wiedział co ma odpowiedzieć. Z jednej strony chciał mieć klienta, a z drugiej nie chciał, aby posądzono go o zażyłe kontakty z przedstawicielami PMW. Aby nikogo nie było w tym czasie w studio, zabezpieczył się przez wywieszenie etykiety: „Geschlossen”, „Zamknięte”.

J. Wojtkowiak ożenił się 25 maja 1925 roku w Lesznie Wlkp. z Henryką Eleonorą Patulską ze starej poznańskiej rodziny Gurbadów, posiadających gospodarstwo w Niekielce. Henryka urodziła się 19 stycznia 1902 roku w Berlinie. Jej matka, Józefa Gurbada Patulska, była kierowniczką Domu Mody w Berlinie. Po ślubie zamieszkali w Wejherowie przy ul. Piłsudskiego 13. 7 listopada 1927 roku urodził się im syn Marian Czesław.



Henryka i Józef Wojtkowiakowie  
w dniu ślubu 25 maja 1925 r.



Henryka i Józef z synem Marianem  
Czesławem. Wejherowo, 14 lipca 1928

W lutym 1929 roku Henryka Wojtkowiak zachorowała na gruźlicę i po 6 tygodniach choroby zmarła 29 marca 1929 roku w Wejherowie (tam też została pochowana). Po śmierci żony synem zaopiekowała się siostra Józefa, Aniela Wojtkowiak z Nekli.

W 1925 Józef Wojtkowiak służył jako bosmanmat mechanik na kanonierce ORP *General Haller* pod dowództwem kapitana marynarki Eugeniusza Pławskiego, późniejszego dowódcy niszczyciela ORP *Piorun*. (E. Pławski mieszkał wtedy w Sopotach, a później w Gdyni przy ulicy Świętojańskiej).

*„W maszynowni oprócz Krefta mieliśmy bosmata Wojtkowiaka, st. mar. Iglantowicza, st. mar. Dwornika i jeszcze paru doświadczonych marynarzy, reszta to byli rekruci.”* - tak pisze E. Pławski w artykule „Wspomnienia historyczne na wesoło”, który ukazał się w „Naszych Sygnałach” w 1959 roku.

Wojtkowiak był członkiem załogi maszynowej ORP *General Haller* w czasie oficjalnej wizyty okrętu w Estonii i na Łotwie w pierwszej połowie czerwca 1925 roku.

W czasie podróży do Estonii była ogromna burza i zepsuło się dynamo, w rezultacie czego na okręcie zapanowały egipskie ciemności: *„W międzyczasie na dole w maszynowni kpt. Herman w towarzystwie Wojtkowiaka, Iglantowicza i paru niedobitków - bez przerwy pełniąc służbę wachtową od momentu opuszczenia Gdyni - próbowali odszukać przyczynę uszkodzenia dynamo”* („Nasze Sygnały” 1959). Kanonierki wróciły z podróży zagranicznej 24 czerwca 1925 r.

Z powodu sztormowej pogody podczas podróży na ORP *General Haller* do Estonii i na Łotwę oraz pod wpływem osobistych doświadczeń i przeżyć na morzu Józef Wojtkowiak napisał wiersz:

*„Rozdarła się burza,  
nad statkiem chwiały się chmu-  
ry –  
Cielska olbrzymie i ciemne jak  
kir.  
Maszt piorun roztrzaskał,  
a żagle w kawały darł wicher.  
W dole od piany aż białe  
jak wściekły szamotał się wir.  
Bałwanów pierś ciężka na po-  
kład się kładła,  
A w górze jak sępy lecące na żer,  
Bój wiodły orkany i śmierci wi-  
dziadła stawały na falach.”*



W 1925 roku J. Wojtkowiak pełnił obowiązki bosmanmata mechanika na kanonierce ORP *General Haller*. Kanonierka podczas wykonywania ćwiczeń, w głębi Kamienna Góra. Fot. ze zbiorów Mariusza Borowiaka & Horacego Unruga

W 1925 roku Józef Wojtkowiak kupił techniczną broszurę z obliczeniami w języku niemieckim. Obliczenia i tabele mechaniczno-matematyczne ułożone są w taki sposób, aby łatwo było się nimi posługiwać. Był wtedy bosmanem, o czym świadczy jego podpis na tej broszurze. Później z tą broszurą wyjechał do Francji i korzystał z niej przy budowie kontrtorpedowca *Wicher* i okrętu podwodnego *Żbik*.

Do 1 marca 1927 roku służył na ORP *General Sosnkowski*, który był okrętem szpitalnym, a następnie w stopniu bosmana-mechanika został zaokrętowany na kanonierkę ORP *Komendant Piłsudski*.

W tym samym czasie otrzymał list z Ministerstwa Przemysłu i Handlu Nr. MZ 802 informujący, że Komisja Kwalifikacyjna przyznała mu dyplom mechanika III klasy, który będzie wysłany po otrzymaniu 7 zł 60 gr opłat stemplowych. List podpisał naczelnik wydziału H. Pistel. List był zaadresowany do Pana Józefa Wojtkowiaka, Gdynia, ORP *General Sosnkowski*. Następny list z Ministerstwa Przemysłu i Handlu, również podpisany przez H. Pistela z 9 marca 1927 roku był zaadresowany do Pana Józefa Wojtkowiaka, bosmana ORP *Komendant Piłsudski* i mówił: „*Ministerstwo przesyła Panu dyplom mechanika III klasy nr. 12 z prośbą o nadesłanie pokwitowania odbioru*”. 8 marca 1927 roku ojciec otrzymał dyplom mechanika III klasy.

Z tego okresu zachowała się książka, którą Wojtkowiak wywiózł z Gdyni do Wielkiej Brytanii 11 sierpnia 1939 roku na statku Warszawa. Jest to wydawnictwo w 5-ciu broszurach wydane przez Wyd. Centr. Zakł. Zaop. Saperów. Warszawa. 1927, zatwierdzone przez I Wiceministra Spraw Wojskowych i Szefa Administracji Armii do użytku służbowego. Dep. V. W. T. L. dz. 15409/26 Sap. z dn. 10/VIII 26.: Ilustrowane Słownictwo Narzędziowe. Oprócz tego zatrzymał sobie na pamiątkę jedną książeczkę w języku niemieckim ze swoim podpisem, kiedy był bosmanem. Są to wspomniane wcześniej tabele mechaniczno-matematyczne.

### **CNF (Chantiers Navals Français). Pijemy Calvados.**

2 kwietnia 1926 w Paryżu została podpisana umowa na budowę we francuskiej stoczni CNF dwóch kontrtorpedowców (niszczycieli) ORP *Wicher* i ORP *Burza* o wyporności 1600 ton każdy i trzech podwodnych stawiaczy min (*Wilk*, *Żbik* i *Ryś*) o wyporności nawodnej 1000 ton każdy. Przewodniczącym Komisji Nadzorczej Budowy Okrętów we Francji został komandor inż. Xawery Czernicki (zamordowany w 1940 roku w Katyniu), a jego zastępcą komandor porucznik Stanisław Rymaszewicz (ur. 30 czerwca 1890 r. w Wilnie – zm. 5 lutego 1973 r. w Gdyni). W 1927 roku Wojtkowiak poznał komandora Rymaszewicza podczas pracy (korespondowali do śmierci). Ten ostatni, obserwując Wojtkowiaka przy pracach mechaniczno-warsztatowych, doszedł do wniosku, że to właśnie on najlepiej będzie nadawał się na członka Komisji Nadzorczej przy budowie polskich okrętów w Blainville i w Caen we Francji w stoczniach Chantiers Navals Francais.

Wyjazd z Gdyni nastąpił 17 czerwca 1928 roku. Wojtkowiak wyjechał do Tulonu dla odbycia stażu w stoczni Arsenál i na niszczycielu *Orange*. Służył również na francuskich okrętach *Trombe* i *Ouragan* (ów niszczyciel służył pod polską banderą podczas II wojny światowej od 18 lipca 1940 do 30 kwietnia 1941 roku, następnie został oddany Wolnym Francuzom). W Tulonie Wojtkowiak pracował razem z komandorem podporucznikiem Tadeuszem Podjazd-Morgensternem. 22 sierpnia 1928 roku obaj opuścili *Ouragan* po odbyciu stażu.

Po przybyciu do Blainville w drugiej połowie 1928 roku podczas pracy Wojtkowiak poznał się z komandorem podporucznikiem inż. Aleksandrem Rylke (w latach 1946-1949 prorektor Politechniki Gdańskiej), który wspólnie z dowódcą floty Józefem Unrugiem zarekomendował go jako członka Komisji Nadzorczej w Cowes w 1935 roku. Wojtkowiak mieszkał w Blainville, ale często przebywał w Caen. Jego przełożonym był komandor Rylke, pracowali wspólnie nad montażem kotłów na ORP *Burza*.

Józef Wojtkowiak 12 czerwca 1929 roku uzyskał francuskie prawo jazdy na motor (nr 25235) i 16 czerwca 1931 roku prawo jazdy na samochód (nr 36195) w departamencie Calvados.

Pewnego razu, kiedy po zwiedzeniu Le Havre, późnym wieczorem wracał na motorze do Caen, w okolicy Deauville wjechał na kamień i został siłą rozpędu zrzucony do rowu. Motocykl uległ zniszczeniu. Wojtkowiakowi nic się nie stało.

Po pracy J. Wojtkowiak starał się znaleźć czas na rozmowy z miejscowymi mieszkańcami, w ten sposób poznał język francuski i obyczaje w rejonie Calvados. W Gdyni, przed wyjazdem do Francji, zaczął uczyć się języka francuskiego, a oprócz tego zawzięcie czytał francuskie książki, gazety i czasopisma techniczne. Był przekonany, że właśnie przez czytanie gazet i książek zdoła zgłębić tajniki tego języka. Miał rację, bo łatwo jest turystom nauczyć się paru słów i wyrażen niezbędnych w czasie krótkiej podróży, ale o wiele trudniej jest przyswoić sobie obcy język i posługiwać się nim biegle w pracy, a w dodatku być tłumaczem. Nie wszyscy chcieli albo potrafili nauczyć się mówić po francusku. Wielu robotników z Polski, nawet dość dobrze zarabiających w hucie Mondeville, w żaden sposób nie potrafiło oswoić się z tym językiem. Prawdę mówiąc, mogli się obejść bez znajomości francuskiego, ponieważ w hucie wymagano od nich jedynie podpisu pod zaświadczeniem o miesięcznym wynagrodzeniu. Francuski płaćnik czytał im, ile się należy za pracę, więc wielu



Francuskie prawo jazdy Józefa Wojtkowiaka

znało tylko pewne słowa oznaczające cyfry, a i to błędnie. Jeżeli potrzebowali wyjaśnień, wzywali wówczas Wojtkowiaka jako tłumacza i doradcę. Niektórzy z nich używali śmiesznych wyrażeń, myśląc, że takim sposobem wyrażają się poprawnie po francusku. Takich nazywano «Wicek Sękaty», co jest zniekształconą formą francuskiego słowa «cinque», pięć. A Wicek, oznaczało człowieka nie potrafiącego mówić po francusku. Jeżeli w stoczni potrzebowano tłumacza do spraw technicznych, to zawsze proszono Wojtkowiaka o pomoc. Miał opinię najlepszego technicznego tłumacza. Dlatego też, kiedy studenci z polskich politechnik przyjeżdżali na praktykę do francuskich stoczni, oddawano ich pod opiekę Wojtkowiaka. Ten zaznajamiał ich ze sprawami technicznymi i zapoznawał z regionem. Poświęcali wiele godzin na zaznajamianie się ze skomplikowanymi aspektami budowy okrętów, a dla rozrywek po pracy jeździli po okolicy autobusami, czasami na motocyklu lub samochodem Wojtkowiaka. Odwiedzali restauracje, jedli ostrygi i popijali calvados.



Józef Wojtkowiak ze studentami z Polski podczas budowy *Wichra* i *Burzy*. Blainville, 1930.

Wojtkowiak pracował bardzo sumiennie nadzorując budowę *Wichra* i *Burzy* w stoczniach w Caen i Blainville, gdzie z jego techniczną wiedzą liczone się i brano pod uwagę fachowe opinie. Komandor Aleksander Rylke rezydował wtedy w Le Havre, dojeżdżał do Caen i do Blainville. Był kierownikiem działu kadłubów. Tenże w książce „W służbie okrętu” pisze o popularności Jozefa Wojtkowiaka wśród mieszkańców Caen.

Jerzy Pertek w książce „*Burza - weteran atlantyckich szlaków*” pisze:

„Nadzór bezpośredni nad budową *Burzy* (kadłuba, kotłów, turbin itd.) sprawowali członkowie komisji, których skład i liczba ulegały pewnym zmianom. Stale rezydował w Blainville st. bsm. Józef Wojtkowiak, budowę kadłuba doglądał kmdr ppor. Aleksander Rylke dojeżdżający z Le Havre...”



Wyjątek z książki S.M. Piaskowskiego - *Kontrtorpedowce WICHER i BURZA*:

*„Oprócz tego w pobliżu stoczni Blainville znajdowała się stała placówka Komisji Nadzorczej. Jej rezydentem był st. bosman (mianowany w 1933 r. chorążym marynarki, a w czasie wojny podporucznikiem) Józef Wojtkowiak”.*

Stosunki służbowe z przedstawicielami stoczni francuskiej nie zawsze układały się dobrze. Pojawiały się trudności w wykonywaniu polskich zamówień i dostosowywaniu się do polskich wymagań. Wojtkowiak opowiadał, że górne walczaki kotłów *Burzy* wyprodukowano zdeformowane (zowalizowane). Kiedy to wykrył w obecności przedstawiciela firmy CNF, ten wybuchł śmiechem, starając się tym powiedzieć Wojtkowiakowi, że nie jest specjalistą od kotłów. Jednak Wojtkowiak był przekonany o swojej słuszności, gdyż miał już za sobą bogate doświadczenie zawodowe. Musiały być wyprodukowane nowe kotły, co było wielkim ciosem finansowym dla stoczni. Wodowanie *Wichra* odbyło się 10 lipca 1928 roku, a wodowanie *Burzy* 16 kwietnia 1929 roku. W obu uroczystościach uczestniczył Józef Wojtkowiak.

W 1928 z okazji Dziesięciolecia RP st. bosman Józef Wojtkowiak otrzymał BRĄZOWY KRZYŻ ZASŁUGI (Nr Krzyża Zasługi 9837/Or z 10 XI 1928), MEDAL X-LECIA i MEDAL Z PIŁSUDSKIM 1918-1928.

Oprócz udziału w budowie okrętów ORP *Wicher* i *Burza* starszy bosman Józef Wojtkowiak był także wyznaczony do nadzorowania budowy okrętu podwodnego ORP *Żbik* w stoczni CNF w Blainville. W tym samym czasie Francuzi zapraszali do oglądania budowy ich jednostek podwodnych. Józef był obecny podczas ceremonii opuszczania na wodę jednego z francuskich okrętów podwodnych w Caen (22 maja 1931 roku).

W marcu 1932 r. *Burza* przybyła do Cherbourg na przeprowadzenie prób. 8 marca 1932 r. odbyła się parada i oficjalny obiad w klubie marynarki francuskiej.



Wodowanie niszczyciela ORP *Wicher*.  
Zdjęcie ze zbiorów NAC, sygn. 1-W-2040-2



Msza św. na ORP *Burza* w dniu 8 marca 1932 r.  
Z prawej Józef Wojtkowiak

Starano się utrzymać oficjalnie uprzejmy nastrój. Następnie odbyła się msza święta na pokładzie okrętu, którą odprawił kapelan PMW ks. Władysław Miegoń (obecnie Błogosławiony).

25 sierpnia 1932 r. 5 polskich okrętów złożyło oficjalną wizytę w Sztokholmie. Józef Wojtkowiak był gospodarzem maszyn na ORP *Wicher*. Na niszczycielu służył bardzo krótko, gdyż po powrocie ze Sztokholmu od drugiej połowy 1932 do 1934 roku był zaokrętowany na ORP *Burza* jako st. bosm. mech. W 1933 roku został mianowany bosmanem floty. (Rozk. nr. 62 z 4 XI 1933)

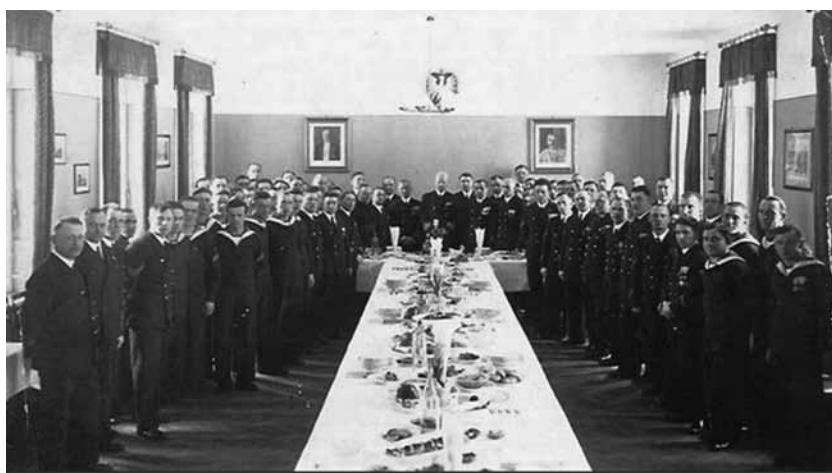
W 1934 pracował w Kadrze Szeregowych Floty pod dowództwem kmdra ppor. Kazimierza Kozana.

### **Pani Szefowa**

Pierwsze w Odrodzonej Polsce kasyno PMW na Oksywiu zostało uroczystie otwarte przez dowódcę floty, kmdra Józefa Unruga w 1932 r. Przy wejściu został on i jego świta, w której m.in. był ppor. mar. Franciszek Pitułko, powitany przez kierowniczkę kasyna, panią Kazimierę Irenę Żurawską (1898 - 1990), ubraną na tę okazję w nową białą suknię i srebrny zegarek - prezent zaręczynowy od Piotra Żurawskiego - i poprowadzony do głównej sali, w której stały wspaniale przygotowane stoły z zakąskami i napojami. Nie wpuszczano psów do kasyna, toteż duży wilczur komandora Unruga „Komin” i biały szpic pani szefowej „Mikuś” zostały na dworze.

Od pierwszego dnia objęcia kierownictwa nazywano p. Żurawską „Panią Szefową” i nazwa ta przetrwała lata, już po jej odejściu z kasyna. Kiedy obchodziła swoje 90-te urodziny w Plymouth dostała od znajomej z Gdyni pozdrowienia, zaadresowane do Pani Szefowej.

Na otwarciu kasyna było obecnych wielu późniejszych sławnych ludzi morza, którzy budowali podstawy PMW, a później w czasie wojny wsławili się



Otwarcie Kasyna Podoficerskiego na Oksywiu. 1932 r. W środku kmdr Józef Unrug, pod prawym narożnikiem portretu Mościckiego stoi Józef Wojtkowiak

na morzach świata. Po otwarciu kasyna stali się jego częstymi bywalcami. Oto niektórzy: Józef Boreyko, Stanisław Brychcy, Piotr Bukraba, Jan Chmara, Władysław Duch, Robert Dyduch, Stanisław Dzienisiewicz, Aleksander Falkowski, Waclaw Fara, Ottokar Feika, Józef Filipowicz, Józef Grzonka, Ferdynand Herman, Ludwik Inglatowicz, Brunon Jabłoński, Jerzy Jurkowski, Leon Kmitkowski, Tadeusz Konarski, Kazimierz Kozan, Jan Lang, Heliodor Laskowski, Stanisław Lee, Władysław Lech, Józef Leszczyński, Walenty Lewicki, Lisowski, Zygmunt Luterek, Wiktor Łomidze, Andrzej Łoś, Kajetan Łowczynowski, Waclaw Maciesowicz, Eugeniusz Maybaum, ksiądz Władysław Miegoń, Aleksander Mohuczy, Stanisław Nahorski, Florian Napierała, Franciszek Natanek, Jan Nowak, Stanisław Patalas, Franciszek Pitulko, Franciszek Piwoni, Waclaw Poważę, Stanisław Przybylak, Stefan Rojewski, Aleksander Rylke, Stanisław Rymaszewicz, Antoni Sobczyk, Jan Sroka, państwo Staśkiewiczowie, Aleksander Trzyna, Walenty Tyra, Józef Unrug, Józef Wieczorek, Stanisław Wieczorkiewicz, Tadeusz Wodziczko, Józef Wojtkowiak i wielu innych, których nazwisk nie jestem w stanie wymienić.

Kazimiera Irena Żurawska z domu Ambrożewicz urodziła się 18 listopada 1898 r. w Nieszawie. Jej ojciec, Wiktor Ambrożewicz, był znanym krawcem i krojczym, matka Marianna z Borowickich (z Warszawy) prowadziła w Nieszawie sklep kolonialny, a ciotka Helena Borowicka-Siwiek posiadała we Włocławku słynny w tym czasie hotel WIKTORIA, w którym w 1930 r. zatrzymał się sam Ignacy Mościcki. Kazimiera pochodziła z rodziny tradycyjnie zajmującej się interesami. Oprócz tego umiała pięknie grać na pianinie. Podczas I wojny światowej w Warszawie zdobyła dyplom szkoły muzycznej, komponując na zakończenie szkoły skoczną poleczkę. Pierwszą wojnę spędziła z rodziną w Warszawie, przy ul. Przemysłowej 23 u generałowej Daniłowiczowej. W stolicy pracowała w fabryce masek gazowych, w sklepie z modelowymi kapeluszami i w niemym kinie, w którym wyświetlano filmy z Tomem Mixem, grała na pianinie. Od 1916 w Centralnym „Komitecie Obywatelskim”, którego przewodniczącym był Seweryn Czetwertyński, pomagała przy rozdawaniu odzieży biednym i wysiedlonym. Zawsze była samodzielna, pełna inicjatywy i potrafiąca zarabiać na życie.

12 września 1918 Niemcy opuścili Nieszawę i Ambrożewiczowie wrócili z Warszawy do swojego miasta. Tutaj Kazimiera podczas jednej z imprez kulturalnych poznała swojego przyszłego męża, sierżanta Piotra Żurawskiego z I Batalionu Morskiego, stacjonującego w lecie 1919 r. w Nieszawie. Ich ślub odbył się 30 maja 1920 r. w kościele św. Jadwigi w Nieszawie. Ślubu udzielił proboszcz ks. Waclaw Boratyński. Na krótko przed ślubem umarła matka Kazimieri, Irena, która tak starannie przygotowała organizację ślubu córki. Z powodu żałoby Kazimiera ubrana była do ślubu w popielatą kostium, który uszyła jej ciotka Rozalia Orzażewska z Warszawy.

Następnie państwo Żurawscy znaleźli się w Pucku, który po I wojnie światowej stał się bazą PMW. Tutaj urodził się ich syn Zbigniew, którego ochrzcili w kościele farnym. Piotr Żurawski był w kompanii treningowej

instruktorem musztry i szwedzkiej gimnastyki oraz zaznajamiał rekrutów z obowiązkami życia marynarskiego. Potem odpowiedzialny był za magazyny z bronią i za utrzymanie ich w gotowości bojowej. W czasie I wojny światowej wyróżnił się na froncie odwagą i poświęceniem, był odznaczony medalami, a po wojnie poświęcił się całkowicie marynarce. Nauczył swoją żonę doskonale strzelać i potem zdobywała na zawodach strzeleckich w Pucku pierwsze miejsca.

W 1924 Żurawscy przenieśli się na Oksywie do nowej bazy PMW. Kiedy po raz pierwszy w naszej flocie wojennej promowano starszych bosmanów na bosmanów floty, Kierownictwo Marynarki Wojennej postanowiło wybrać siedmiu najbardziej zasłużonych podoficerów. Promocja odbyła się 1 kwietnia 1931. Bosmanami flot zostali: Wacław Maciesowicz, Leon Kmitkowski, Jan Lang, Piotr Żurawski, Jan Sroka, Józef Filipowicz i Ottokar Feika. Żurawski ciężko zachorował i przewieziono go do szpitala wojskowego do Warszawy, gdzie okazało się, że był nieuleczalnie chory na raka gardła. Po krótkich, ale ciężkich cierpieniach zmarł w Warszawie. Z rekomendacji KMW został pochowany na Powązkach w alei zasłużonych.

Po śmierci Piotra, Kazimiera Irena z synem i z ojcem Wiktorem Ambroźewiczem, wróciła na Oksywie, gdzie miała znajomych i przyjaciół. Znalazła oparcie duchowe w przyjaźni z siostrą księdza Władysława Miegonia - Marią Staśkiewicz, nauczycielką szkoły na Oksywiu, (korespondowały do śmierci). Ksiądz znał Piotra Żurawskiego jeszcze z okresu działań I Batalionu Morskiego i w Pucku zapoznał jego żonę ze swoją siostrą.

Maria Miegoń, ur. 28 sierpnia 1906 r. w Samborcu koło Sandomierza w województwie kieleckim, ukończyła szkołę podstawową, a potem jej brat ksiądz Władysław Miegoń zabrał ją do Wejherowa i kształcił na pedagoga w Seminarium Nauczycielskim na swój koszt, ponieważ rodzice pochodzili ze średnio-zamożnej rodziny rolniczej. Ich ojciec był kołodziejem. Wykształcili najstarszą córkę, która poszła do zakonu, ale przedwcześnie zmarła, i syna Władysława, późniejszego księdza-bohatera. Na kształcenie kolejnych córek nie starczyło pieniędzy. Ksiądz Władysław Miegoń widząc zdolności Marii, postanowił zapewnić jej wykształcenie. W Wejherowie Maria ukończyła 5-letnie seminarium nauczycielskie, a latem jeździła do Pucka, do brata, na wakacje. W Pucku mieszkała u sióstr zakonnych. I właśnie wtedy ksiądz Miegoń zapoznał siostrę z Kazimierą-Ireną Żurawską. Zaprzyjaźniły się od razu.

Po ukończeniu szkoły, na horyzoncie pojawił się inteligentny i sympatyczny człowiek z Poznańskiego - Marian Staśkiewicz, który trafił na Oksywie do PMW jako inżynier okrętów podwodnych. Pracując na terenie działalności księdza Władysława, który bacznie go obserwował, bardzo przypadł do gustu i został przedstawiony Marii. W 1929 roku na Boże Narodzenie odbył się ich ślub w katedrze sandomierskiej. Niebawem, po ślubie, wrócili znowu na Oksywie, gdzie Maria rozpoczęła pracę w szkole, do której chodziły dzieci marynarzy i rybaków. Staśkiewiczowie mieszkali przy ulicy Żółtej u państwa Malewskich, a Żurawscy na Arendta Dickmana.

Kazimiera-Irena należała do marynarskiej rodziny, którą uważała już za swoją. Nie chciała tracić kontaktów z morzem, ani z ludźmi. Była aktywnym członkiem Rodziny Wojskowej, urządziła szkolne zabawy i imprezy dla dzieci marynarzy. Oprócz tego była już, jako wdowa po zasłużonym bosmanie floty, zadomowiona na Oksywiu i pragnęła kontynuować pracę w PMW.

Na Oksywiu zaczęto budowę pierwszego podoficerskiego kasyna PMW. KMW przysłało do niej swoich przedstawicieli, którzy zaproponowali do wyboru pensję wdowią albo przyjęcie kierownictwa nowo-budowanego kasyna podoficerskiego. Przyszli z nadzieją, że właśnie zgodzi się na prowadzenie kasyna, pomimo to, że kilku mężczyzn ubiegało się o stanowisko. Męska konkurencja nie wytrzymała próby i wkrótce kasyno otrzymało swoją „Panią Sze-fową”. Zaczęła organizować pracę w kasynie, która całkowicie ją pochłonęła. Pracowała od godz. 6 rano do godzin wieczornych. Była młoda i pełna energii, więc się bardzo nadawała na to stanowisko.

Na głównej ścianie w sali powieszono portrety marszałka Piłsudskiego i prezydenta Mościckiego, a w środku białego orła. Sufit i ściany prawie do połowy zostały pomalowane na biało, a dolne części ścian na różowo (Pani Sze-fowa nie lubiła kolorowych i wzorzystych tapet, po jej odejściu z kasyna w 1934 roku wytapetowano ściany wzorzystym materiałem).

Pojawiły się landszafty i fotografie przedstawiające życie marynarki. Na prawo od bufetu z alkoholem, w którym można było również kupić bombonierę z czekoladami Wedla, wisiał jeden obraz z cyklu «Kwiaty Polskie». Wysokie okna przyozdobiono pięknymi kotarami. Stoliki ustawiono pod ścianami i nakryto białymi obrusami. Podłoga świeciła się od czystości. Pani Sze-fowa zamówiła pianino, które, niestety dotarło z opóźnieniem, dopiero parę tygodni po otwarciu kasyna. Dlatego na początku działalności muzykę odtwarzano z płyt na patefonie. Wkrótce postarała się o koncesję i urządzenie bufetu.



Kasyno Podoficerskie PMW na Oksywiu

Od pierwszego dnia funkcjonowania kasyna, nad zegarem, już na białej części ściany wisiała stara ikona Matki Boskiej Częstochowskiej, pamiątka rodzinna Ambrożewiczów. Poniżej widniały słowa „Pod Twoją Obronę Uciekamy się”. Obraz ten Pani Szefowa trzymała w kasynie, a nie w domu, dowodząc tym jakie znaczenie miała dla niej ta nowa instytucja PMW. Ikona z Nieszawy przywędrowała na Oksywie, gdzie została jeszcze raz poświęcona przez księdza Miegonia podczas ceremonii otwarcia kasyna. Przetrwała wojnę, a właściwie to z jej pomocą my przeżyliśmy wojnę i jest ona obecnie w moim posiadaniu.

Do utrzymania porządku i czystości Pani Szefowa zatrudniła miejscowe kaszubskie dziewczyny na czele z panią Dyktą z Grabówka. Zatrudniła także parę oksywskich dziewcząt w charakterze kelnerek, a najrzęczniejszą z nich była panna Jadzia. Kelnerki były ubrane w czarne suknie, białe fartuszki i białe czepeczki.

Uformował się pierwszy Zarząd Kasyna, w którego skład weszło jedenastu starszych podoficerów, włączając w to Borowego, starszego bosmana Foterka, chorążego Eugeniusza Maybauma, starszego bosmana Wacława Maciesowicza, starszego bosmana Stanisława Patalasa, starszego bosmana Antoniego Sobczyka, chorążego Stanisława Wieczorkiewicza i starszego bosmana Józefa Wojtkowiaka.



Zarząd Kasyna Podoficerskiego Oksywie. Józef Wojtkowiak siedzi drugi od prawej

W 1933 wielu ludzi PMW zaczęło na wielką skalę budować domy i wille w Gdyni. Ksiądz Miegoń, który przeważnie pracował i mieszkał na Oksywiu, gdzie między innymi obowiązkami przychodził też do domu dowódcy floty kmdr. J. Unruga uczyć jego syna Horacego religii, oddał swoją działkę na Grabówku, przy ul Wąsowicza 16, swojej siostrze, ale nawet po wybudowaniu

domu Staśkiewiczowie stołowali się w kasynie podoficerskim, ponieważ oboje pracowali blisko. I przez to przyjaźń między Kazimierą i Marią jeszcze bardziej się pogłębiła.

Na otwarciu kasyna Pani Szełowa poznała się ze st. bosm. Józefem Wojtkowiakiem, który, jeżeli nie był za granicą służbowo, przebywał często w klubie. Przychodził słuchać koncertów w wykonaniu Kazimierzy Ireny i próbować smakołyków przyrządzanych w doskonałej kuchni kasyna.

Po wyjściu za niego za mąż Pani Szełowa zrezygnowała ze stanowiska kierowniczk. Ich ślub cywilny odbył się w Gdyni 6 czerwca 1934 r. w Urzędzie Stanu Cywilnego. Ślubu udzielił zastępca kierownika tego Urzędu p. B. Wolff. Świadkami byli st. bosm. Stanisław Patałas i bosmanmat Wacław Kaznowski. 17 czerwca 1934 roku kapelan MW ksiądz Władysław Miegoń udzielił im ślubu kościelnego w kościele św. Michała Archanioła na Oksywiu. Świadkami byli: chor. Józef Leszczyński i Wacław Kaznowski.



Ślub Ireny i Józefa Wojtkowiaków

Po ślubie Kazimiera Irena otrzymała nową Legitymację Osobistą nr 1655 wydaną przez Ministerstwo Spraw Wojskowych na nazwisko Irena Wojtkowiakowa. Są tam interesujące dane. Legitymacja jest wydana 25 czerwca 1934 i podpisana przez ówczesnego dowódcę Kadry Szeregowych Floty kmdr ppor. K. Kozana, następnie przez dowódcę Dywizjonu Szkolnego kmdr. por. B. Sołowskiego w 1935, dalej przez sekretarza Polskiej Ambasady w Londynie A. Balińskiego w 1936, potem przez dowódcę Kadry Floty kmdr. ppor. K. Kozana w 1937, następnie przez kpt. mar. T. Konarskiego z ORP BŁYSKAWICA w 1938. i na koniec przez dowódcę ORP BŁYSKAWICA kmdr. por. W. Kodrębskiego w 1939. Na ostatniej stronie jest notatka: „Skreślono «bosmana floty», napisano «chor. mar.» 12 grudnia 1934. (mowa tu o mężu Józefie Wojtkowiaku). Podpisano: Pohorecki, por. mar. oficer oddziału szkolnego SSM.”

Legitymacja przetrwała wojnę, ponieważ Wojtkowiakowa miała ją zaszytą w łachmany i przy rewizjach Niemcy jej nigdy nie znaleźli.

Od 1934 do 1935 Józef Wojtkowiak służył na ORP *Bałtyk* - (dawny francuski krążownik *d'Entrecasteaux*) - spełniał w Polskiej Marynarce Wojennej rolę okrętu-hulku. Jako bosman Floty (stopień przemianowany na chorążego marynarki) J. Wojtkowiak pracował na *Bałtyku* w charakterze instruktora technicznego Szkoły Specjalistów Morskich (SSM) na kursach dla podoficerów maszynistów. Dowódcą Dywizjonu Szkolnego był kmr por. B. Sokołowski. Ostatni kurs, na którym zajęcia prowadził Józef Wojtkowiak przed swoim wyjazdem do Cowes, został ukończony 29 kwietnia 1935 zrobieniem pamiątkowej fotografii.

ORP *Bałtyk* na redzie portu  
w Oksywiu. Foto ze zbiorów  
Mariusza Borowiaka



Zakończenie Kursu Podoficerów Maszynistów z udziałem J. Wojtkowiaka  
(siedzi pierwszy z lewej). 29.IV.1935



## Kontrtorpedowce

29 marca 1935 r. podpisano umowę ze stoczną J.S. WHITE w Cowes w Wielkiej Brytanii na budowę 2 niszczycieli o wyporności 2650 ton każdy. W kwietniu 1935 roku wyznaczono Komisję Nadzorczą, w jej skład wszedł Józef Wojtkowiak. Wyzaczył go Józef Unrug za poradą Stanisława Rymaszewicza i Aleksandra Rylke.

Skład Komisji Nadzorczej: przewodniczący - kmdr mgr inż. Stanisław Rymaszewicz, członkowie: ppor. mar. mgr inż. Stanisław Uniechowski-Rodogost, inż. Jan Morze, chor. mar. Józef Wojtkowiak. Eksperci: kmdr ppor. Bronisław Leśniewski, kmdr ppor. mgr inż. Seweryn Bukowski, kpt. mar. Stanisław Mieszkowski. Pani Jordan-Stojowska-Lutosławska pracowała jako tłumaczka. Przesłano ją z Polskiej Ambasady w Londynie. Sama też ciągle douczała się angielskiego i praca ta była dla niej doskonałą praktyką. Przychodziła czasami po porady do Józefa Wojtkowiaka, który znał angielski doskonale.

Józef nauczył się angielskiego z samouczka na parę miesięcy przed wyjazdem do Anglii, a że nie miał praktyki, było bardzo trudno. Z powodu nieodpowiedniej wymowy musiał na początku pisać na kartce, to co chciał powiedzieć, aby angielscy pracownicy stoczni zrozumieli, o co mu chodzi. Jednak z biegiem czasu bardzo dobrze opanował ten język, tak samo jak wcześniej francuski.

Mała miejscowość Cowes na wyspie Wight (147 mil kwadratowych) była i w dalszym ciągu jest kurortem wakacyjnym znanym ze swoich corocznych regat żeglarskich urządzanych przez the Royal Yacht Squadron. Oprócz tego na wyspie znajdowała się słynna stocznia J. Samuel White & Co, w której budowano dla Polski niszczyciele i ścigacze.

Wojtkowiak przyjechał do Cowes 12 sierpnia 1935 roku. Tego samego dnia wysłał do żony w Gdyni pieniądze oraz list, na który żona odpisała 21 sierpnia 1935 r., wysyłając mężowi pocztówkę-fotografię ulicy Kwidzińskiej z widokiem z lasku na dom numer 14, który w tym czasie budowano. Wkrótce potem przyплыnęła do Cowes i przez pierwsze miesiące swojego pobytu mieszkali w domu o nazwie «York House» przy ulicy: Castle Street w East Cowes. Córka Wanda urodziła się 19 lutego 1936 w Newport, IOW, w klinice Holyrood House. W pracy w domu bardzo chętnie pomagała im bezinteresownie pani Alice Davis, z 33 Clarence Street, gdyż bardzo polubiła tę rodzinę obcokrajowców. Po urodzeniu się córki Wojtkowiakowie przeprowadzili się do «York Gardens» przy York Avenue, a następnie mieszkali przy Millfield Avenue w domu o nazwie Millfield też w East Cowes.

Po przyjeździe do Cowes i rozpoczęciu pracy w stoczni J.S. White Józef Wojtkowiak poznał inż. Victora Richardsa, (mieszkał przy 13 Chapel St Newport). Razem pracowali od początku, prawie każdego dnia, i stali się nierozłącznymi kolegami ze względu na wspólne zainteresowania w dziedzinie budownictwa okrętów. Od dnia przybycia do Cowes ekipy polskiej wielu młodych studentów angielskich pracujących w stoczni od razu zainteresowało się cudzoziemcami i zaprzyjaźniło się z nimi. Przy konstrukcji polskich okrętów

spędzali razem każdy dzień, więc wkrótce dużo o sobie nawzajem wiedzieli. Ewart Day, Jim Littledale, Lany King, Stanley Caws. George Harding i wielu innych byli znani ze swojej przyjaźni z nowoprzybyłymi. Od 1935 Jim Littledale pracował kolejno jako apprentice, foreman i superintendent. Wychodził na próby na morze z *Błyskawicą* i *Gromem*. Starszy foreman Stanley Caws (specjalista od propelerów o szerokim doświadczeniu), ślusarz George Harding dokładnie doglądali prac montażowych. Bardzo im zależało, aby próby te dobrze udawały się, ponieważ budowa polskich okrętów była dumą stoczni. Jim do tej pory bardzo mile wspomina tamte czasy, pamiętając polskie nazwiska.

Jim Littledale z Bellevue Road, Cowes, pamięta, że Józef Wojtkowiak bardzo lubił jeść brazylijskie orzechy, ponieważ nie było ich na polskim rynku. Z drugiej strony pamięta też jego fachowość i sumienność przy pracy.



Pracownicy PMW w stoczni JSW w Cowes w 1936 r.  
Wojtkowiak kłęczy na drugim planie w jasnym kombinezonie

Wojtkowiakowie zaprzyjaźnili się z pp. F.S. Billowes i p. Joan Billowes (F.S. Billowes pracował w «Correspondence Room»), którzy często zapraszali ich do siebie do «Sherwood» przy Solent View Road, Gurnard w Cowes i z Charlie Bettison, który mieszkał przy 40 Osborne Road w East Cowes. Inni mieszkańcy Cowes też chętnie zapraszali do siebie członków polskiej komisji. Zielone Świątki 31 maja 1936 Wojtkowiakowie z córką spędzili u państwa

Watts przy Cambridge Road. Państwo ci zajmowali się hodowlą małych czarnych rasowych piesków, których zawsze w domu mieli pięć. Pan Watts pracował przy malowaniu polskich okrętów, a jego brat w tym czasie był sanitariuszem w stoczni.

Właściciele domu przy Millfield Old Road mieli czarnego labradora, którego po prostu nazywali Dog. Dom ten znajdował się w East Cowes, a do stoczni w Cowes Józef przyplýwał promem. Dog był mądry i szybko wyczuł czas powrotu. Zawsze o tej porze, gdy Józef wracał z pracy oczekiwał na niego przed promem. Kiedy Józef pracował dłużej, pies umiał sam popłynąć promem na drugą stronę i tam wtedy na niego czekał. Tak się do Wojtkowiaków przyzwyczaił, że zaczął zapominać o swoich panach i wołał z nimi chodzić na spacer.

W stoczni Wojtkowiak był odpowiedzialny za stronę mechaniczno-warsztatową przy budowie OORP *Błyskawica i Grom*. Doskonale układały się stosunki służbowe i towarzyskie z pracownikami stoczni. Miał tam wielu przyjaciół, których po wojnie odwiedzał na wyspie.

Z 1935 r. zachowała się książka, którą miał przy budowie okrętów w Cowes: Mechanical World Year Book 1935. 1/3 net. (To była cena książki jeden szyling i trzy peny). Taka sama z 1937: Electrical Year Book 1937, 1/6 net. Książka ma podpis chor. mar. J. Wojtkowiak i pieczętę z Gdyni: Józef Wojtkowiak Gdynia Kwidzińska 12. Następna książka to: Mechanics Applied to Engineering by John Goodman. Wh. Sch.. M.Inst.C.E. Emeritus Professor of Engineering • in the University of Leeds, Longmans, Green and Co. London, New York, Toronto, 1930. Książka ma też jego podpis, pieczętę z Gdyni i datę kupna książki: 21.10.1937, Cowes.

Wojtkowiak szczególną uwagę zwracał na wibracje. W książce są podkreślone przez niego czerwonym atramentem niektóre punkty w rozdziale o wibracjach. Oto co powiedział o wibracjach podczas budowy niszczycieli: „*Maszyny musiały być sprawdzane jaką mają wibrację. Robiłem to w następujący sposób: kazałem zapuszczać motory i na maszynę z pracującymi silnikami kładłem florin, który musiał stać i nie przewracać się. Wtedy wszystko było dobrze, ale jeżeli florin przewrócił się i spadł musieliśmy od nowa poprawiać motory. W końcu na GROMIE i BŁYSKAWICY doszliśmy do tego, że floriny nie spadały, ani nie przewracały się podczas pracy silników.*” Ten sposób sprawdzania wibracji Wojtkowiak wymyślił i wprowadził podczas prób, po przekonaniu się, że metody doskonale nadają się do tego celu.

Józef Wojtkowiak odegrał znaczącą rolę przy budowie okrętów, ponieważ miał duże doświadczenie, od razu rzucające się w oczy konstruktorom angielskim w stoczni. Zdobył je na zaawansowanych kursach w pruskiej marynarce i podczas pracy w stocznich francuskich. O jego fachowości i ekspertyzach do tej pory mówią ci, którzy pracowali z nim w stoczni w Cowes. Przy budowie okrętów w Cowes Wojtkowiak pracował bardzo skrupulatnie, wszystko sobie zapisywał, a notatki i dokumenty miał poukładane na biurku, tak że doskonale orientował się, gdzie szukać informacji i obliczeń. Przychodzili inni i pytali się właśnie jego, bowiem wiedzieli, że ma wszystko skrupulatnie zapisane i

poukładane. Z jego pomocą i radami bardzo się liczyli. Jeszcze dzisiaj Jim Littledale mówi o Wojtkowiaku: „He had the brains, he had a mathematical brain and knew what he was doing. We noticed it straight away.”

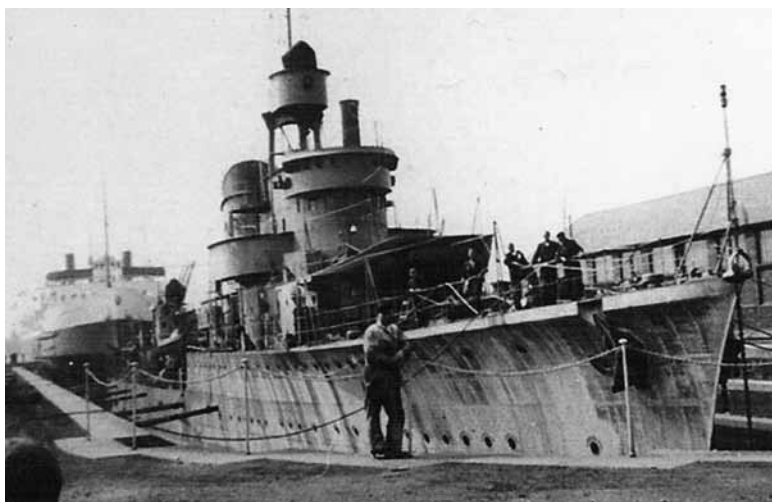


Przy budowie Błyskawicy w Cowes. Sierpień 1937. W beretach pracownicy polscy, w kapeluszach pracownicy stoczni. Stoją od lewej 2. Władysław Maławski, 3. Józef Wojtkowiak. Z prawej siedzi Władysław Duch

Wodowanie GROMA odbyło się 20 lipca 1936 roku w Cowes. Miejskowa gazeta THE ISLE OF WIGHT COUNTY PRESS zamieściła artykuł i dwie fotografie z tej uroczystości. Wydarzenie to było świętem na wyspie, ponieważ stocznia była tam głównym pracodawcą. Matką chrzestną została p. Wanda Poznańska. Wśród gości znaleźli się: Ambasador Wielkiej Brytanii w Warszawie Sir H.W. Kennard, kontradmirał Jerzy Świrski, Dr Charles Poznański, Cpt C.H.L. Woodhouse (Admiralty), dyrektorzy stoczni i znane osobistości z wyspy. Pracownicy stoczni mieli w klapach białoczerwone rozetki. Po rozbiciu butelki szampana, duma Polski i stoczni ORP *Grom* spłynął na wodę. Anthea Wall, córka dyrektora stoczni, ubrana w polski narodowy strój, podarowała p. Wandzie Poznańskiej bukiet białych konwalii i czerwonych goździków. Po wodowaniu *Grom* został przeholowany na drugą stronę rzeki Medyny dla uzupełnienia wyposażenia.

Goście zostali zaproszeni przez przewodniczącego firmy J. Samuel White - Sir Archibald'a Michelsona na wspólny obiad w Cowes Territorial Drill-hall. Wojtkowiak był tam ze Stanleyem Cawsem. Sala do przyjęć była udekorowana polskimi i angielskimi flagami, a podczas posiłku grano polskie melodie z płyt gramofonowych. Wzniesiono toasty na cześć Króla i Prezydenta Rzeczypospolitej, a następnie na propozycję Sir Howarda Kennard'a wypito zdrowie PMW. Sir Howard powiedział, że PMW jest dla nas czymś nowym, dopiero co powstałym, ale każdy, kto studiował historię Polski wie, że w przeszłości polskie okręty odgrywały ważną rolę na Bałtyku. Ma nadzieję, że w przyszłości *Grom* nie będzie użyty dla celów wojennych, ale jeżeli zajdzie taka potrzeba, jest pewny, że okręt ten poniesie w świat tradycję świetności, siły i dzielności, którymi polskie siły zbrojne zawsze się odznaczały.

W odpowiedzi admirał Świrski podziękował angielskim kolegom za pomoc w wybudowaniu *Groma* i powiedział, że Polska, tak jak Anglia jest zależna od morza, po którego falach płyną do nas towary. Okręt ten będzie służył jako ochrona statków handlowych i nie będzie użyty dla agresji. Na wniosek Świrskiego wzniesiono toast na cześć Royal Navy. Następnie wypito zdrowie Matki Chrystusowej i przewodniczący firmy J Samuel White подарował p. Poznańskiej broszkę z rubinów i diamentów w kształcie flagi polskiej.



Wojtkowiak przy burcie *Groma*. Cowes 1936

Wodowanie ORP *Błyskawica* nastąpiło w czwartek 1 października 1936 r. Przed uroczystym wodowaniem odbyła się msza św. celebrowana przez Ojca O'Hanlon z Cowes i Ojca G. Cichosia - polskiego księdza z Londynu. Ojciec Akel napisał specjalną modlitwę dla BŁYSKAWICY: „*Spare. O Lord. those who will use this ship the horrors of war, but. if through the wickedness of men, they are forced into it, make them remember Thy eternal law of justice and charity.*”

Natychmiast po rozbiciu butelki szampana przez Matkę Chrzestną, p. Raczyńską, *Błyskawica* pięknie zsunęła się na wodę. Orkiestra z Cowes zagrała hymn „Eternal Father, strong to save”. Antliea Wall podarowała p. Raczyńskiej bukiet kwiatów. Wśród gości byli obecni: Hr. Edward Raczyński, (Ambasador RP), kmdr A. Rylke, Hr. R. Michałowski (1-wszy sekr. Amb. RP), dr Karol Poznański (Konsul Generalny RP), adm. Sir William Fisher (Commander-in-chief Portsmouth), the Earl i Countess Jellicoe, Sir Samuel i Lady Instone, przedstawiciele Admiralicji Brytyjskiej, przedstawiciele misji greckich i brazylijskich w Londynie. Grecja i Brazylia interesowały się kupnem okrętów w stoczni i chciały się naocznie przekonać o ich jakości. Byli również gospodarze; dyrektorzy i przedstawiciele stoczni, jak zwykle z biało-czerwonymi rozetkami w butonierkach.

Obiad odbył się w Alexandra Hall. Sir Archibald Mitchelson (przewodniczący firmy) był gospodarzem obiadu i za jego stołem siedzieli: pp Raczyńscy, pp Wall, Adm Sir W. Fisher. Earl i Lady Jellicoe. Lady Piggott, pp Poznańscy, pani H.J. Ward. mjr-gen J. W. West z żoną. Hr R. Michałowski, kmdr S. Rymaszewicz, pp E.C. Jubb. pani S. V. Goodall. Rear Adm L. Turner z żoną, pani G. Fardell, pp Shearman, pp J. C. Joughin, pani S.St.L. Moore. p C.E.G. House i p N. Fraser. Wojtkowiakowie siedzieli 2 stoły dalej na prawo.

Przewodniczący stoczni Sir Archibald Mitchelson podarował p. Raczyńskiej na pamiątkę srebrną broszkę w kształcie ORP *Błyskawica*. Broszka ta była zrobiona przez firmę Benzie w Cowes.

Adm. Fisher powiedział, że większość obecnych na dzisiejszym obiedzie to członkowie najstarszej floty świata, ale tego dnia witamy i oddajemy cześć najmłodszej. Ta młoda flota jest dobrą flotą, ponieważ posiada najnowocześniejsze okręty, uzbrojenie i wyposażenie, a co najważniejsze, doskonale wyszkolone załogi. Admirał wyraził nadzieję, że współpraca między angielską i polską flotą będzie kwitła w celu utrzymania pokoju. Wspomniał wizytę brytyjskich kontrtorpedowców w Gdyni, która jeszcze 10 lat temu była małą wioską rybacką, a teraz jest wielkim portem. Kontynuując, wyraził pragnienie aby stocznie i Admiralicja Brytyjska budowały wszystkie następne okręty dla Polski, ponieważ uważa, że *Grom* i *Błyskawica* to 2 najlepsze okręty świata. Ambasador Polski odpowiedział, że ten dzień jest dumą dla Polski, która jest morską nowicjuską wśród narodów morza XX wieku, a *Błyskawica* jest dodatkiem do jej rosnącej floty. Polska interesuje się handlem, a nie wojną. Wodowanie to tylko początek do dalszej współpracy między naszymi flotami.

12 października 1936 Uniechowski, Wojtkowiak i Zawiasa zrobili kilka pamiątkowych fotografii na pokładzie ORP *Błyskawica*. Wojtkowiakowa kupiła za 6 pensów



Pamiątkowe zdjęcie na *Błyskawicy* 12.X.1936

u Woolworth'a w Cowes album i oboje wieczorami wklejali i opisywali te fotografie.

Józef przebywał często w towarzystwie kmr. Stanisława Rymszewicza (1890-1973), kpt. mar. inż. Wincentego Zawiasy, maty Teodora Chlasy (1910-1983), bosmaty Ludwika Inglantowicza i swego szwagra, chor. mar. Stanisława Patalasa. Rymszewicz, którego przyjaciele zwali Rymszą, był częstym gościem u Wojtkowiaków. Nie gardził dobrym polskim obiadem, a że miał doskonały apetyt, nie zwracał uwagi na swoją wagę. Józef nigdy się nie przejadał i radził innym udawać się na spoczynek trochę na głodnego. Przeczytał o tym w jakiejś książce lekarskiej i zaraz o tym powiedział żonie i Rymszewiczowi. Ci z kolei zapakowali książkę w papierową torebkę i wyrzucili do pojemnika na śmieci. Takim sposobem zapomnieli o kaloriach.

Józef Wojtkowiak napisał artykuł do WIARUSA nr 2 z 9 stycznia 1937: *ORP Wilia* w Cowes:

W pierwszej połowie grudnia przybył transportowiec naszej marynarki wojennej *ORP Wilia* do Cowes na wyspie Wight, przywożąc materiały przeznaczone dla *ORP Grom* i *Błyskawica*, a wykonane całkowicie w Polsce. Materiał, przywieziony z Polski, jest przeznaczony dla różnych działów okrętowych, o czym pisał WIARUS w nr 43. *ORP Wilia*, stojąc na redzie, wyładował materiał na barki, które przewiozły go do stoczni. Nadmienić należy, że pracownicy stoczni są zachwyceni jakością i wykonaniem polskich wyrobów okrętowych, a zwłaszcza podziwiają polskie kable opancerzone, łodzie okrętowe i radiostacje.

Tym samym okrętem przybyli również pierwsi członkowie załogi dla *ORP Grom*. Są to podoficerowie - gospodarze działów, którzy pod kierownictwem już wcześniej przybyłych oficerów mają się zapoznać szczegółowo z urządzeniami okrętowymi, celem szkolenia później przybywającej załogi. W czasie pobytu *ORP Wilia* w Cowes zostały wymienione wizyty oficjalne. Dowódca *ORP Wilia* kmr ppor. Kwiatkowski złożył wizytę dowódcy floty angielskiej w Portsmouth, adm. Fisherowi, temu, który podczas wodowania *ORP Błyskawica* z uznaniem mówił o polskiej marynarce. Stocznia dała do dyspozycji dowódcy *ORP Wilia* szybkobieżną (40 mil na godzinę) motorówkę Niebieska Strzała celem udania się do Portsmouth.

Burmistrz miasta Cowes z radnymi miejskimi i dyrekcją stoczni podejmowali bardzo serdecznie dowódcę *ORP Wilia*. Marynarze polscy wywarli swym poprawnym zachowaniem się i wyglądem bardzo dobre wrażenie na mieszkańcach wyspy, którzy o tym szeroko rozpowiadają.

Z okazji wizyty piszący te słowa odwiedził swych kolegów - podoficerów na *ORP Wilia* i spędził z nimi przeszło dwie godziny w bardzo miłym i koleżeńskim nastroju. Koledzy opowiadali, że przez 7 dni podróży z Gdyni do Cowes *ORP Wilia* walczył z gwałtownym sztormem. Sztorm był tak wielki, że rzucał jak łupiną tym wielkim transportowcem. Okręt posuwał się czasami z szybkością tylko 2 mil zamiast 10-11 mil na godzinę. Podróż ta bardzo wyczerpała załogę, a zwłaszcza palaczy, którzy w pocie czoła ciężko w takich warunkach muszą pracować.

Z Cowes ORP *Wilia* wyruszył do Le Havre we Francji, wioząc załogę i materiały na ORP *Gryf*.

*Józef Wojtkowiak, chorąży marynarki.*

25 listopada 1937 r. w Cowes odbyło się podniesienie bandery na ORP *Błyskawica*. Na fotografii robionej tego dnia Wojtkowiak napisał: BANDERA PODNIESIONA!.

Wojtkowiak miał wielu przyjaciół wśród pracowników stoczni: Bettison Charlie, Frank Billowes i Bettenson Thomas, który był u Wojtkowiaków w Gdy- ni z wizytą i w dzień swojego odjazdu do Anglii 24 listopada 1938 na pamiątkę ich przyjaźni podarował Józefowi książkę „McGibbon's Marine Engineers Pocket Book”. Adres Bettensona: Gainesville Cottages. Osborn Road, East Cowes, IOW. Dalej: A. Hoare. H.C Carey, Victor Richards i wyżej wymienieni po wojnie pomogli Wojtkowiakowi w uzyskaniu angielskiego obywatelstwa.

Władysław Szczerkowski tak pisze o Wojtkowiaku w książce „ORP BŁYSKAWICA”:

*„Bardzo dużą rolę w pracach komisji odegrał jej przewodniczący kmdr. inż. Stanisław Rymaszewicz, który pracował z wielkim oddaniem. Wiele pracy - popartej nieprzeciętną wiedzą - włożył w budowę obu okrętów inż. Jan Morze. Na podkreślenie zasługuje również sumienna praca chor. mar. Józefa Wojtkowiaka, eksperta o bogatym doświadczeniu z zakresu prac warsztatowych, które zdobył jeszcze podczas nadzorowania budowy WICHRÓW we Francji.”*

Wyjątek z książki R. Mielczarka „ORP GROM”: „Dnia 11 maja 1937 załoga stoczniowa wyprowadziła okręt z doku i nastąpiło uroczyste przekazanie go stronie polskiej. Z chwilą podpisania protokołu przyjęcia ORP GROMA przez kmdra por. Włodzimierza Steyera (był dowódcą III Batalionu Morskiego w 1920 r., w którym służył Józef Wojtkowiak) służbę na okręcie objęła pierwsza wachta załogi polskiej. Do godziny 16.00 została zaokrętowana pozostała część załogi, niezbędna dla przeprowadzenia okrętu do kraju (6 oficerów, 33 podoficerów, 13 podoficerów nadterminowych, 18 starszych marynarzy, 1 marynarz służby zasadniczej. Stocznia zaokrętowała mechanika gwarancyjnego Tomasza Bettensona.”

Zbliżał się uroczysty moment podniesienia biało-czerwonej bandery, który tak opisał naoczny świadek, chor. mar. Józef Wojtkowiak: „Na komendę „Bacność”, banderę podnieść” dwóch sygnalistów wolno i miarowo podniosło banderę do szczytu drzewca rufowego. Załoga w skupieniu i z radością bijącym sercem, wpatrywała się w drogi jej symbol narodu. „Biały Orzeł” radośnie zatrzepotał w powietrzu, spoglądając na okręt i jego załogę, których zadaniem będzie bronić zawsze jego godności. Dowódca okrętu w mundurze z orderem *Virtuti Militari* na piersiach, stojąc pod banderą, zwraca się do załogi:

*„Ogłaszam uroczyście, że z chwilą podniesienia bandery, ORP GROM przechodzi na własność Rzeczypospolitej, stanowiąc Jej niepodzielną całość. Od tej chwili na pokładzie tego okrętu obowiązują prawa i przepisy Rzeczypospolitej Polskiej.*

*Spocznij!”*





J. Wojtkowiak od 12 sierpnia 1935 roku był członkiem Komisji i Nadzoru Budowy Okrętów *Grom* i *Błyskawica* w Anglii. Od 1937 do sierpnia 1939 roku II oficer mechanik na kontrtorpedowcu ORP *Błyskawica*, następnie na *Gromie*. Zdjęcie przedstawiające kontrtorpedowce *Błyskawica* i *Grom* zostało wykonane w listopadzie w 1939 roku.

Fot. ze zbiorów Mariusza Borowiaka

ORP *Grom* wypłynął z Cowes do Gdyni 11 maja 1937 r. o godzinie 20.00.

Po powrocie do Gdyni 27 października 1937 r. chor. mar. Józef Wojtkowiak, dotychczasowy członek Komisji Nadzoru, został włączony do załogi *Błyskawicy*.

W numerze 22 WIARUSA z 1937 ukazał się następny artykuł Wojtkowiaka: „Polsce przybywa nowy okręt bojowy”.

Poza «Wiarusami» istnieją jeszcze przedwojenne artykuły, w których mówiono o Józefie Wojtkowiaku, w miesięczniku «Liga Morska i Kolonialna», rok 1937, oraz w gazecie gdyńskiej «Morze».

Od 27 października 1937 r. Wojtkowiak służył na ORP *Błyskawica*, a następnie na ORP *Grom* jako II oficer mechanik.

W sierpniu 1938 Józef zamówił uszycie nowego munduru. Sukno na ten mundur kosztowało po 20 zł za 1 metr.

Z pamiętnika Ojca: 19 września 1938 wpisałem się do listy wyborców do Senatu. Numer Krzyża Zasługi 9837/Or. z dnia 10 XI 1928.

Józef Wojtkowiak oszczędzał pieniądze na wybudowanie nadbudówki w swojej willi w Gdyni. Pieniądze gromadził na książeczkach oszczędnościowych.

Przyszła wojna i nie wiadomo co się z książeczkami i zaoszczędzonymi pieniędzmi stało.

Warto jeszcze wspomnieć, że bosman J. Wojtkowiak latem 1936 roku został członkiem (do pomocy) Komisji Nadzorczej budowy okrętu podwodnego ORP *Orzeł* w Vlissingen w Holandii. Ponieważ stocznia nie zdążyła wyprodukować silników Diesla według licencji szwajcarskiej fabryki Sulzera, wobec czego zlecenie ich budowy zostało przekazane podwykonawcy, w tym wypadku samej firmie Sulzer w Winterthur. Główne silniki elektryczne miały zostać wykonane przez firmę Brown Boveri w Baden w Szwajcarii. Wykonanie tych ostatnich nadzorował porucznik Strupczewski z bosmanem Wojtkowiakiem.



Podniesienie bandery na ORP Orzeł. Zdjęcie ze zbiorów NAC , sygn. 1-W-2028-3

### Ostatnie dni pokoju

11 sierpnia 1939 r. Józef Wojtkowiak został wysłany z Gdyni do Anglii z oficjalną misją jako delegat techniczny przy budowie ścigaczy. Krótko przed wyjazdem, będąc człowiekiem przewidującym, spakował niektóre pamiątkowe fotografie, książki techniczne, dokumenty osobiste i postanowił zabrać je do Anglii. Na Dworzec Morski w Gdyni przy Nabrzeżu Francuskim przyszła rodzina, aby pożegnać męża i ojca. Przycumowany był tam statek *WARSZAWA* (kpt. Ćwikliński), na który Józef został zaokrętowany. Rozstanie nie było szczęśliwe, wszyscy płakali, bo przecucia im tak kazały. Marian Wojtkowiak, który miał wtedy 12 lat, bardzo dobrze zapamiętał dzień odjazdu ojca 11 sierpnia 1939:

*„Gdy Ojciec odpływał do Anglii był dzień pochmurny, a na nabrzeżu żegnaliśmy go całą rodziną. Ojciec był podenerwowany i jeszcze wszystkim dawał jakieś wskazówki i informacje. Bagaże i wszystko inne miał już zaokrętowane, a jednak był jakiś nieswój. Zresztą niedużo wiem, bo cały czas miałem oczy za mglą. Gdy przyszła kolej na uściskanie się ze mną - poprosiłem aby mnie zabrał*

*ze sobą. Dosyć stanowczo mi to wyperswadował i wytłumaczył o niemożności takiego kroku - ale i tak dobrze nie zrozumiałem tylko rozryczałem się na dobre. Po wejściu Ojca na burtę, od razu podniesiono trap i rzucono cumy. Statek bardzo powoli odbijał od nabrzeża, holownik go obrócił i wyprowadził. Gdy zniknął za główkami falochronu wróciliśmy taksówką do domu. To wszystko, co pamiętam, ale miałem przecucie, że z ojcem już się nie zobaczę”.*

Józef Wojtkowiak przepłynął przez Kanał Kiloński z niemiecką wizą i hitlerowską pieczęcią w służbowym paszporcie polskim Ser. A. Nr 007518 Nr. AP139/3115 wystawionym 5 sierpnia 1939 przez Ministerstwo Spraw Wewnętrznych. Paszport mówi, że Pan Józef Wojtkowiak udaje się za granicę w charakterze urzędowym. Jest w nim brytyjska wiza „official courtsey-gratis” wydana przez British Passport Control w Warszawie, w której jest napisane, że Wojtkowiak Józef udaje się do Anglii z oficjalną misją.

15 sierpnia 1939 Józef Wojtkowiak był w Londynie. Tego samego dnia wieczorem dotarł do Cowes, a następnego dnia stawił się do pracy w stoczni J. SAMUEL WHITE.

17 sierpnia 1939 przyjechał do Cowes na jeden dzień kmdr Rymszewicz. Tego dnia komandor był bardzo zdenerwowany i nie potrafił skupić się. Ciągłe powtarzał, że musi natychmiast wracać do Warszawy, gdyż nie wiadomo co będzie dalej i co los mu przyniesie. Prawdę mówiąc, komandor nie miał dobrych przeczuć. W Cowes był tylko jeden dzień w sprawie budowy ścigaczy i zaraz wrócił do Londynu. Jednak w tym dniu wyglądał nieswój, jak gdyby szukał Józefa do zwierzania się mu ze swych złych myśli, gdyż do tego czasu byli już bardzo dobrymi przyjaciółmi. Komandor bardzo się martwił o swoją rodzinę, a szczególnie o synów. Zygmunt miał w 1939 r. 18 lat, a Mieczysław 16. Po wojnie nie dowiedział się co stało się z Zygmuntem, pomimo, że wrócił do Polski szukać syna, który prawdopodobnie zginął w Powstaniu Warszawskim. To był jedyny cel jego powrotu, gdyż w innym wypadku by nie wrócił. Mieczysław osiedlił się w Paryżu, a Stanisław i Jadwiga Rymszewiczowie zamieszkali w Oliwie, przy ulicy Polanki 29/2, bez synów, których bardzo kochali.

Obowiązkiem Józefa Wojtkowiaka było nadzorowanie montażu maszyn dla ścigaczy, tłumaczenia techniczne i kancelaryjne. Oryginalny plan przewidywał jeszcze nadzorowanie budowy maszyn dla okrętów budowanych w Polsce i przygotowanie wału i głowic dla ORP GROM. Wybuchła wojna. Kolejnym jego zadaniem było szkolenie załóg maszynowych dla ścigaczy.

W stoczni Józef Wojtkowiak nieustannie pracował przy produkcji detali kotłów i instalacji maszynowych dla dwóch ścigaczy i ORP *Grom*. Był nadzorcą prac związanych z metodami produkcji w tokarni, w oddziale ciężkich maszyn, następnie doglądał ustawiania i prób tych maszyn na okrętach.

Tak jak dawniej przy nadzorowaniu *Wichrów* we Francji tak i teraz Wojtkowiak opiekował się studentami z Polski, przyjeżdżającymi do Anglii dla nabycia praktyki technicznej. Było teraz z nim trzech studentów z Politechniki Gdańskiej: Feliks Dekowski, Jerzy Doerffer i Bagiński oraz student Kempa.

Przy budowie ścigaczy pracowali również st. bosm. Stanisław Rybicki (później służył jako oficer mechanik na ORP *Wilk*), bosmanmat Antoni Sewcza i brygad. WPMW p. Leon Żaczek.

Po wojnie Józef Wojtkowiak korespondował z Mr. A. Hoare. Mr. F.S. Billowes. Mr. H.C. Carey, Victor Richards, Frank Billowes i Jim Littledale i innymi pracownikami stoczni.

Jego serdecznym przyjacielem był Victor Richards (14 VIII 1915 - 13 I 1977), zamieszkały wtedy przy 13 Chapel Street, Newport, który jako młody inżynier pracował w stoczni przy budowie polskich niszczycieli i ścigaczy. Po wojnie często się odwiedzali i korespondowali ze sobą aż do śmierci Victora.

Józef i Victor od razu się zaprzyjaźnili, gdyż mieli wspólne tematy do rozmów: budowa okrętów, technika, obliczenia. Victor bardzo się interesował doświadczeniem Józefa zdobytym w marynarce niemieckiej w czasie I wojny światowej i mogli o tym rozmawiać przez wiele godzin. Niemieckie kursy mechaniczne i warsztatowe były na wysokim poziomie, niektóre z nich czasami przewyższały te prowadzone w szkołach inżynierskich w carskiej Rosji. Victor mógł się o tym przekonać, widząc sposób i metody jego pracy. Józef mówił, że jeżeli mamy wygrać wojnę, to musimy Niemców pokonać pod względem technicznym.

Victor pytał: „*A jak odnosili się Niemcy do Polaków w marynarce?*”. Józef odpowiadał: „*Kierownictwo zwracało uwagę na zdolności i umiejętności poszczególnych marynarzy, którym dawali wykształcenie. Byli też i tacy, którzy nienawidzili Polaków, ale z takimi spotykałem się rzadko*”.

Inni przyjaciele, państwo Knox, podarowali Józefowi w 1939 na pamiątkę książkę „*These Tremendous Years*” (1919-1938) z dedykacją „*To Mr. Wojtkowiak from Mr. & Mrs. Knox, Cowes, IOW. A Polish-English Friendship. God Bless You and Yours. Deo Gratias*”.

W Cowes Józef Wojtkowiak pracował przy nadzorowaniu dostaw i budowy ścigaczy aż do czasu odbycia stażu na HMS *Glowworm* w dniach 16 - 28 marca 1940 r.

## Wyjazd na Malte

30 sierpnia 1939 r. zgodnie z operacją „PEKING” odeszły do Wielkiej Brytanii OORP *Błyskawica*, *Grom* i *Burza*. 1 września o godz. 4.48 pancernik SCHLESWIG-HOLSTEIN rozpoczął atak na Westerplatte, a niemieckie oddziały przekroczyły granice Polski. Tak zaczęła się II wojna światowa, która nas wszystkich rozproszyła po świecie.

W dniu wybuchu wojny chor. mar. Józef Wojtkowiak przebywał w Cowes. Nie był samotny, był wśród przyjaciół. Dyrektor stoczni Arthur Thomas Wall przyszedł powiedzieć, że tej wojny Niemcy nie wygrają i możemy liczyć na pomoc Imperium. Nie pozwolimy, żeby Hunowie dyktowali nam, co mamy robić. Charles Thomas Bettenson (urzędnik gwarancyjny ORP *Błyskawicy* z ramienia stoczni J. Samuel White) zaprosił Józefa w ten dzień do siebie do domu w Cowes. Wieczór spędzili w nastroju nadziei na szybkie zwycięstwo. Wypili

toast za króla Jerzego VI i za Prezydenta RP. W rozmowach Bettenson wspominał swój pobyt w Gdyni 24 listopada 1938 roku, kiedy był z prywatną wizytą u Wojtkowiaków i uspakajał Józefa, który bardzo martwił się o los rodziny. Następnego dnia zaproszony był do Victora C. Richardsa, który mieszkał w Newport. Victor Richards i Józef Wojtkowiak już od 1935 roku byli zaprzyjaźnieni, gdyż mieli wspólne zainteresowania: mechanika, budowa okrętów. Victor bardzo interesował się opowiadaniem Józefa o niemieckiej marynarce i poziomie wyposażenia technicznego ich okrętów.

Józef Wojtkowiak został w Cowes przy nadzorowaniu budowy ścigaczy i szkoleniu nowych załóg do 15 marca 1940 roku, aż do swojego przeniesienia na ORP *Garland*. Zanim to nastąpiło, 16 marca 1940 r. został odkomenderowany na angielski okręt tego samego typu HMS *Glowworm* w celu odbycia praktyki w obsłudze maszyn, (służył do 28 marca 1940). Był tam ze starym przyjacielem z Gdyni-Oksywie starszym bosmanem Józefem Grzonką, z którym w 1928 służył w Tulońskiej stoczni Arsenale, a w 1937 w Cowes. O ich służbie pisze Jerzy Pertek w książce „Pod obcymi banderami”:

*„Również polscy podoficerowie marynarki kierowani byli na brytyjskie okręty dla odbycia stażu. Pierwszy tego rodzaju wypadek nieomal zakończyłby się tragicznie. Kiedy w Admiralicji Brytyjskiej zapadła na początku 1940 roku decyzja przekazania Polakom GARLANDA, Anglicy zażądali, aby dwóch starszych polskich podoficerów odbyło jednomiesięczny staż na okręcie tego samego typu. Wskazany okręt był GLOWWORM, a wyznaczonymi przez Kierownictwo Marynarki Wojennej podoficerami – starsi bosmani Józef Grzonka i Józef Wojtkowiak. Gdy czas ich stażu dobiegał już końca nastąpiły znane wydarzenia zapoczątkowujące hitlerowską inwazję w Norwegii. W jej przeddzień GLOWWORM natknął się na niemieckie okręty i bohatersko walcząc z przeważającymi siłami został zatopiony pociskami artylerii ciężkiego krążownika ADMIRAL HIPPER. Po otrzymaniu tej wiadomości Admiralicja Brytyjska przysłała do Kierownictwa Marynarki Wojennej pismo kondolencyjne z wyrazami żalu z powodu śmierci obu polskich podoficerów. Tymczasem tego samego dnia obaj rzekomo polegli bosmani zameldowali się w gmachu Kierownictwa. Okazało się, że dowódca GLOWWORMA kazał im się wyokrętować w ostatniej chwili przed wyjściem okrętu w morze, o czym sam już nie zdążył zameldować swemu dowództwu.”*

Wojtkowiakowa mieszkała w Brodnicy (była u siostry Aurelii Lewickiej), otrzymała list od Niemców zawiadamiający ją o śmierci męża. Jednak temu nie wierzyła i po jakimś czasie, już będąc w Spiczyźnie, otrzymała pocztówkę z Portugalii z pozdrowieniami od Józefa. Pocztówka była wysłana przez Czerwony Krzyż. Niemcy musieli wiedzieć, kto służył na *Glowwormie*, skoro takie zawiadomienie przysłali, a że dowódca angielskiego okrętu Lt Cdr Gerard Roopie nie zdążył zameldować o zmianach w załodze, nie wiedzieli, że polskich podoficerów już na pokładzie nie było.

Los HMS *Glowworm* był tragiczny, ale bohaterski. Wywiad brytyjski i rekonesans powietrzny wykrył dużą koncentrację okrętów w niemieckich portach nad Bałtykiem, ale adm. Sir Charles Forbes, głównodowodzący Flotą

Ojczystą (Commander in Chief Home Fleet) wątpił w akuratność tych raportów i uznał je za wojnę nerwów. I tak, na ślepo, angielskie stawiacze min wypłynęły na norweskie wody 8 kwietnia 1940 r. Po drodze napotkały ogromny sztorm i niszczyciel HMS *Glowworm* musiał zawrócić, aby szukać w rozszalałym morzu jednego z członków załogi, który wypadł za burtę. Płynąc bardzo szybko z powrotem, okręt ten wszedł na drogę niemieckich okrętów szykujących się do zaatakowania norweskiego portu Trondheim. W gęstym mroku natknął się na niemiecki niszczyciel *Bernd von Arnim*. Nie zdając sobie sprawy z faktu, że niemiecki niszczyciel był częścią większego zespołu, *Glowworm* nawiązał z nim kontakt bojowy. Niszczyciel Kriegsmarine, na którego pokładzie znajdowało się wojsko, zaczynał już poważnie odczuwać skutki ostrzału *Glowworma*, kiedy nagle niemal na wprost brytyjskiego okrętu pojawił się ciężki krążownik Admirał Hipper. W takiej sytuacji *Glowworm* zmuszony był skryć się pod zasłoną dymną i uciekać. Admirał Hipper podążył za nim. HMS *Glowworm* przez jakiś jeszcze czas wymykał się ze szpon Niemca, ale kiedy zasłona dymna się podniosła, załoga Hippera z bliska ujrzała go po prawej burcie z przodu okrętu. Angielski niszczyciel szedł prosto na Hippera z zamiarem staranowania. Był to podyktowany rozpaczą i tylko częściowo udany kontratak. Niszczyciel zmiażdżył kadłub krążownika i oderwał 40 metrów jego opancerzenia. Hipper obrócił się w celu oszacowania uszkodzenia. Było poważne, ale nie na tyle poważne, żeby powstrzymało jego dojście do Trondheim. Natomiast dla *Glowworma* nie było już ratunku. Gdy trafiony pociskami dryfował, usłyszano wybuch, który spowodował jego pęknięcie. Zanim zatonął HMS *Glowworm* zdążył wysłać depeszę radiową ostrzegającą przed niemiecką flotą znajdującą się na morzu. Wśród uratowanych rozbitków z *Glowworma* znajdował się jego dowódca Lt Commander Gerard Roope, ale kiedy wspinał się po linowej drabinie na pokład Hippera z wycieńczenia i zmęczenia wpadł do wody i zginął. Pośmiertnie udekorowany został krzyżem Victoria Cross.

Józef Wojtkowiak już 15 marca 1940 r. wiedział, że zostanie przeniesiony na nowy okręt ORP *Garland* do obsługi maszynowej jako II oficer mechanik. 29 marca 1940 r. wyjechał z Londynu na Maltę (gdzie był *Garland*) razem z kpt. mar. Z. Wojewódkim i komisarzem ppor. mar. Józefem Chojnowskim. 3 maja 1940 nastąpiło uroczyste przekazanie okrętu Polskiej Marynarce Wojennej i podniesiono polską banderę na ORP *Garland* w porcie La Valetta na Malcie. Odbyla się uroczysta msza św. z udziałem brytyjskiego wiceadmirała W.T. Forda i załogi okrętu. Ołtarz był udekorowany narodowymi flagami; polską i brytyjską. ORP *Garland* ze względów kurtuazyjnych zatrzymał angielską nazwę. Był szesnastym okrętem floty brytyjskiej noszącym tę nazwę.



Ołtarz na *Garlandzie* udekorowany flagami polskimi i brytyjskimi. La Valetta. 3 V 1940.  
Zdjęcie ze zbiorów NAC , sygn. 18-341-1



Msza św. na *Garlandzie*. 3 maja 1940



Załoga maszynowni na *Garlandzie*. Z prawej Józef Wojtkowiak

Podniesienie bandery na ORP *Garland* w dniu 3 maja 1940 r. Oficerowie z pierwszej załogi. Stoją od lewej: pierwszy oficer mechanik kapitan Michał Ludwik Gierżod (25 VIII 1899-15 XI 1940, fala zmyła go z pokładu na Północnym Atlantyku), dowódca okrętu Komandor podporucznik Antoni Doroszkowski (31 III 1899 - 12 XI 1973), w cywilnym ubraniu konsul Trabone, wysoki oficer NN. Od prawej: wujek Tadeusza Walenczaka, kierownik maszyn chorąży Stanisław Patalas (2 XI 1892 w Lutogniewie k/Krotoszyna - 8 XII 1971 w Wejherowie), drugi z prawej: drugi oficer mechanik chorąży Józef Jan Wojtkowiak (20 II 1898 - 16 II 1979), trzeci z prawej stoi zastępca dowódcy okrętu kapitan Zbigniew Ignacy Wojewódzki (31 VII 1904 - 14 IV 1977), czwarty Antoni Tyc (12 VIII 1914 - 25 VII 1975), piąty brytyjski oficer łącznikowy Lieutenant Commander Patterson. Pierwszy z prawej siedzi podchorąży (wkrótce podporucznik) Aleksander Wiktor Marian Starzeński (31 I 1918 - 17 VIII 2002), drugi siedzi: pierwszy oficer broni podwodnej porucznik Witold Poray-Wojciechowski (19 XII 1913 - 13 I 1992). Pierwszy z lewej siedzi: podporucznik Jerzy Lipiński (19 XI 1917). Lipiński wrócił po wojnie do Polski, napisał opowiadanie „Spotkamy się o świcie”, ale w 1947 r. w Polsce cenzura wycofała to opowiadanie z obiegu. Potem napisał książkę „Druga wojna światowa na morzu”



Nazajutrz, po przekazaniu Polakom *Garlanda*, 4 maja 1940 roku nieprzyjacielskie bomby lotnicze zatopiły *Groma* pod Narwikiem, przy budowie którego Józef spędził wiele godzin pracy i poświęcenia. Na *Gromie* miał przyjaciół. Jednym z nich był Teodor Chlasta (1910 -17. 11. 1983; pracował w Cowes przy budowie *Groma*), którego uratowano z wody. Po wojnie też osiedlił się w Plymouth i opowiadał: „*Niemcy strzelali do tych, którzy byli już w angielskich łodziach ratunkowych. Przypłynął szybko angielski niszczyciel i zrobił z Niemcami porządek.*” Chlasta otrzymał wysokie odznaczenie angielskie Mentioned in Dispatches.

W czasie postoju na Malcie w La Valetta Józef wybrał się na wyspę Gozo, znajdującą się 4 mile na pñ. zach. od Malty. Ta mała wyspa, pokryta pagórkami, posiadała, jak zauważył, bardzo urodzajną glebę. Stolicą Gozo jest miasteczko Victoria, a katedra „Ta Pinu” znajduje się w starej cytadeli. Właśnie w sklepie przed tą katedrą kupił kilka pocztówek. Na Malcie było cicho, bombardowania się jeszcze nie zaczęły i można było oddychać spokojnie, nie myśląc o



następnym dniu. Był to więc czas na zwiedzanie i rozmyślanie, a myśli każdego marynarza z *Garlanda* skierowane były ku Polsce.

16 maja 1940 *Garland* opuścił Maltę i udał się do Aleksandrii, aby ukończyć prace instalacyjne. „W Aleksandrii było bardzo niebezpiecznie chodzić po ulicach, przebywało tam wiele osób różnych narodowości i nie wiadomo było kto tam jest po stronie niemieckiej, a kto nie. Trzeba było dobrze się mieć na baczności, ponieważ łatwo było otrzymać cios nożem w plecy” - tak opowiadał Józef Wojtkowiak. Aleksandria nie przedstawiała sobą uroków życia, a jej atmosfera nie zachęcała do spacerów po jej ciekawych zaułkach. W 1940 roku Wojtkowiak miał 42 lata, był sprawny fizycznie, potrafiłby się obronić nawet przed atakiem z tyłu. Spacerował po mieście i dużo przy tym zwiedził.

Gdy załoga *Garlanda* przebywała w Aleksandrii, dotarła wiadomość o bombardowaniu La Valetty na Malcie. Pierwsze bomby zostały zrzucone 11 czerwca 1940 roku przez włoskie siły powietrzne (Regia Aeronautica). Było to na drugi dzień po włączeniu się Włoch do wojny. 10 bombowców typu Savoia-Marchetti SM-79 wyleciało z Sycylii i rozpoczęło bombardowanie La Valetty i okolic z lotniskiem Hal Far na południu wyspy. Tego dnia miało miejsce 8 nalołów, rzucono bomby na instalacje marynarki wojennej i stocznię. ORP *Garland* szczęśliwie wypłynął z Malty przed rozpoczęciem tych ataków.

3 sierpnia przybyli do Haify. Józef i inni mogli stąd udać się na wycieczki do miejsc świętych i modlić się w miejscach dotąd znanych tylko z książek. Józef kupił masę pamiątek, książeczek do modlitwy, medalików i różańce, które teraz dla mnie mają wielką wartość sentymentalną.

Józef zszedł z *Garlanda* po otrzymaniu 28 września 1940 rozkazu zameldowania się na nowym okręcie ORP *Piorun*. Poukładał wszystkie swoje pamiątki, i te, które kupił na Malcie (dwie małe koronkowe oryginalne serwetki, pocztówki z Gozo, jedna broszka z kości słoniowej z wizerunkiem Matki Boskiej z Gozo) i w Ziemi Świętej (9 małych medalików z Jerozolimy, które poświęcone były na grobie Chrystusa, różaniec z Nazaretu, 4 medaliki okrągłe i jeden owalny z grobu Chrystusa i Jerozolimy, 1 bransoletka z kości słoniowej z Gibraltaru. 2 słonie i 1 kogutek z kości słoniowej z Gibraltaru). Z tymi pamiątkami i nieodłączną króliczą łapką z Nekli był gotowy na następne zadanie.

## ORP Piorun

Wojtkowiak rozpoczął służbę na ORP *Piorun* jako II oficer mechanik 2 października 1940 r., ponieważ musiał zapoznać się z maszynownią. Polską banderę podniesiono 5 listopada 1940 r. Na okręcie ponownie spotkał się ze swoimi dawnymi kolegami: Janem Chmarą, Wacławem Maciesowiczem i Teofilem Paczkowskim. Pracowali razem w różnych latach na różnych jednostkach, więc byli ze sobą doskonale zgrani.

20 lutego 1941 Józef Wojtkowiak obchodził swoje 43-cie urodziny z dala od kraju, rodziny i bliskich, na dalekim Atlantyku, eskortując konwój idący do Anglii. Obchodził je, pamiętając o rodzinie w okupowanym kraju i modląc się razem z innymi o jego wyzwolenie. 13 kwietnia 1941 *Piorun* wziął udział



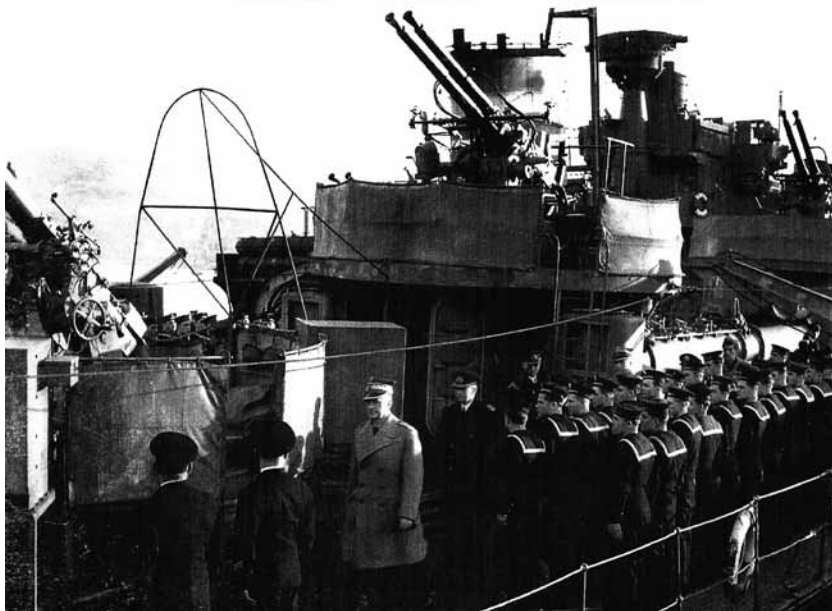
ORP *Piorun*. Zdjęcie ze zbiorów NAC, sygn. 37-795-13

w uratowaniu 290 rozbitków z krążownika pomocniczego HMS *Rajputana*. W czasie akcji Józef Wojtkowiak był kierownikiem ekipy ratunkowej.



Podoficerowie z *Błyskawicy* i *Pioruna* oczekują przybycia gen. Sikorskiego.  
Greenock, 27 XII 1940. Z lewej Józef Wojtkowiak

W maju 1941 brał udział w poszukiwaniach największego niemieckiego pancernika *Bismarck*. Wsławił się odnalezieniem *Bismarcka* i nawiązaniem z nim kontaktu bojowego w nocy 26 maja 1941 r., podczas którego dowódca *Pioruna* komandor Eugeniusz Pławski wydał rozkaz ostrzelania niemieckiego



Gen. Sikorski na pokładzie *Błyskawicy*. Greenock, 27 XII 1940

pancernika na chwałę Polski. Podczas okropnej pogody, przy nadzwyczajnie umiejętnych manewrach maszynami, polski okręt nie został trafiony ani razu pociskami przeciwnika. Jedna celna salwa z *Bismarcka* zniósłaby z powierzchni wód małego *Pioruna*.

Morska tradycja każe nagradzać najczęściej nawigatorów, ale tym razem należy wspomnieć i załogę maszynową, która w pocie czoła potrafiła podyktować maszynom bezpieczny kurs. W czasie piekielnych przechyłów dochodzących do 60° Józef zapomniał o życiu na lądzie, ale wierzył ciągle w swoje morskie szczęście z pomocą fizycznego wysiłku i modlitw. Powtarzał modlitwę z obrazka z Ogrodu Getsemani, kupionego podczas pobytu *Garlanda* w Haifie: „O, najłaskawszy Jezu, miłośniku dusz, błagam Cię przez konanie Serca Twojego najświętszego i boleści Matki Twej Niepokalanej, oczyść krwią Twoją świata całego grzeszników, którzy w tej chwili konają i dziś jeszcze z tego świata zejść mają. Amen.” Miał też przy sobie mały medalik i ikonę Matki Boskiej z Dzieciątkiem Jezus (mam ją) z modłitwami: Ojcze Nasz i Zdrowaś Mario.

Pierwszy rejs bojowy *Bismarcka* zakończył się 27 maja 1941, kiedy storpedowany poszedł na dno. A jeszcze tak niedawno, bo 14 lutego 1939 był z krzykiem i szumem wodowany w Hamburgu w obecności Hitlera ubranego w nazistowski mundur. Pancernik zręcznie zsunął się na wodę i nikt nie zdawał sobie sprawy, że umieszczona na jego dziobie flaga z hakenkreuzem nic dobrego nie przyniesie. Obecny przy wodowaniu komentator niemieckiego radia powiedział: „W zadziwiającej obecności naszego chwalebnego führera spuszczaemy na wodę ten potężny pancernik i oddajemy pod opiekę żywiołowi. Ten

*nowy okręt jest symbolem niemieckiej potęgi i jest w stanie zadać cios każdemu wrogowi spotkanemu na pełnym morzu.”*

*Ani słowa o Boskiej opiece, ani jednej modlitwy. Dlatego musiał zginąć - tak potem mówił Józef.*

Józef Wojtkowiak za udział w akcji z *Bismarckiem* został odznaczony Krzyżem Walecznych. Legitymacja upoważniająca do noszenia Krzyża Walecznych nr 348 została wydana w Londynie 24 lutego 1942. Podpisał ją Kierownik Sam. Ref. Pers. KMW - W. Łomidze. kmdr ppor.

Komandor Pławski w „*Naszych Sygnałach*” w artykule o *PIORUNIE* pisze: „*Popełniłbym wielki grzech, gdybym nie wspomniał o takich filarach jakimi byli chorążowie: Kacper Grzywaczyk, Jan Chmara i Józef Wojtkowiak.*”



ORP *Piorun*. Gen. Władysław Sikorski dekoruje odznaczeniami członków załogi.

Po lewej przed frontem marynarzy Józef Wojtkowiak, 11 marca 1941 r.

Zdjęcie ze zbiorów NAC, sygn. 37-776-1

Służąc na *Piorunie* Wojtkowiak brał udział w konwojach atlantyckich, na Malte i w patrolach u brzegów Sardynii. W październiku 1941 przybył z konwojem do St. John i Halifax w Kanadzie. W Halifaxie kupił kilka złotych zegarków i wiecznych piór. Były to pamiątki dla rodziny.

18 stycznia 1943 roku *Piorun* wyruszył z Sejdísfjordu na Islandii w pierwszy konwój do Murmańska, który składał się z 16 statków różnych bander, przeważnie amerykańskich, bardzo dobrze wyposażonych w broń przeciwlotniczą. W skład eskorty przydzielono 8 niszczycieli, 3 korwety i 2 trałowce, jako okręty ratunkowe. Gdzieś na 50 mil morskich przed *Piorunem* płynęły 4 krążowniki brytyjskie i dalej, jakieś 100 mil w kierunku bieguna posuwały się 2 pancerniki i lotniskowiec brytyjski. Ta grupa miała ubezpieczać konwój w wypadku, gdyby z Norwegii wyszły znajdujące się tam pancerniki lub krążowniki niemieckie. Podróż tam i z powrotem trwała 3 tygodnie. W Murmańsku

Józef na ląd nie schodził, teren wydawał się mu obcy. Widział jednak, że czołgi dostarczone Rosji w jednym z konwojów stały w śniegu, ponieważ Rosjanie nie potrafili zorganizować ich przetransportowania. Zapamiętał, że jeden z Rosjan powiedział: „*my i tak będziemy pierwsi w Berlinie*”.

16 kwietnia 1943 roku dowódcą *Pioruna* został sławny komandor porucznik Stanisław Dzienisiewicz. Znałam go bardzo dobrze w latach 60-tych i raz na tydzień chodziliśmy na obiady w City, a potem po zakupy na Leadenhall Market i po polski chleb u Kossoffa. Był to człowiek, w którym każdy by się mógł łatwo zakochać, po prostu nie miał wad. Opowiadał mi o swoich przeżyciach w Kozielsku i Gрязowcu i o tym jak cudem się uratował, ponieważ był w pokazowym obozie. Nie wiedział jednak, czym się kierowano przydzielając ich do obozu w Gрязowcu. W Kozielsku warunki były trudne, a strażnicy wyzywali Polaków od „polskije pany” i „proklatyje Lachi”. Handlarki przywoziły za cenę złota sól z Kazania, jedzenie było marne i dla więźniów i dla strażników. W Gрязowcu strażnicy i „zakluczonnyje” mogli ze sobą rozmawiać. Komandor był wielkim amatorem literatury i chciał dla odprężenia umysłu coś poczytać. Wiedział, że nic nieideowego w obozie nie znajdzie, ale czy w ogóle coś znajdzie? W tych niepewnych czasach człowiek musiał coś mieć, żeby nie oszaleć i gazeta lub książka odegrałaby rolę filozofa. Komandor spytał strażnika czy ma PRAWDĘ, a ten odpowiedział „ja niekurjaszczij”, gdyż okazało się, że zarówno on sam, jak i jego towarzysze nie umieli czytać, a palacze używali kartek PRAWDY tylko do skręcania machorkowych papierosów. Jeńców polskich przewieźli do Murmańska, a stamtąd na HMS *Edinburgh* kmdr Dzienisiewicz dopłynął 2.02.1942 do Szkocji i rozpoczął służbę w PMW.

Po dłuższym okresie służby na Morzu Północnym oraz Atlantyku, gdzie zimą i wiosną panowały niezwykle sztormy i mrozy, ku radości załogi, z uwagi na warunki, w czerwcu 1943 *Piorun* ostatecznie skierowany został na Morze Śródziemne.

Przez pierwsze 2 tygodnie września 1943 trwała kampania pod Salerno. Po zwycięstwach znalazł się czas na zwiedzenie Neapolu, gdzie Józef znowu z myślą o rodzinie kupił wiele pamiątek, takich, jak rzeźbione broszki, kamea, różańce i korale. W Bari kupił dewocjonalia z kości słoniowej, pocztówki i broszurki o historii miasta.

Po kapitulacji Włoch na początku września 1943 ORP *Piorun* znalazł się w Brindisi, aby eskortować okręt *Scipione Africano* z królem Victorem Emanuelem II (1869-1947) na Maltę.

Za kampanię pod Salerno Wojtkowiak otrzymał kolejny Krzyż Walecznych (Legitymacja 952. z 20 maja 1945, podpisana przez Szefa Sztabu KMW kmdr E. Pławskiego i szefa Wydz. Pers. Kmdr. Ppor. B. Biskupskiego), za wojnę Krzyż Morski z Potrójnym Okuciem (Legitymacja Nr. 476, z 3 lipca 1945, podpisana przez Szefa Wydz. Pers. KMW kmdr. Por. B. Biskupskiego), oraz 5 medali angielskich. Oto one: 1. 1939-1945 Star, 2. Atlantic Star, 3. Africa Star, 4. Italy Star, 5. War Medal.

Józef Wojtkowiak w czasie drugiej wojny światowej spędził 42 miesiące i 16 dni, walcząc na morzach świata.

Z pamiętnika Ojca:

*„Brałem udział w licznych konwojach i walkach morskich, np. konwoje na Morzu Północnym, operacje na Morzu Śródziemnym. Malta. Aleksandria, Haifa, Cypr, Dardanelle, Afryka, Gibraltar, Włochy (Sycylia i główny ląd), Augusta, Crotone, Giovani, Salerno. Brindisi, Bari, Taranto. Algier, Oran, Bizerta. Neapol etc., dalej konwoje do Kanady (Halifax). konwoje do Nowej Fundlandii (St. John, Argentia), konwoje do Islandii, do Rosji (Murmańsk), konwoje do Malty, operacje nad wybrzeżami Norwegii, Francji, w Kanale Angielskim, walka z pancernikiem BISMARCK”.*

### **Na obcych wodach**

Na jesieni 1943 roku Wojtkowiak został przeniesiony do Glasgow na kurs oficerów mechaników PMW. Od samego początku pobytu w tym mieście zapisał się na członka Szkocko-Polskiego Klubu V-Club.

W Glasgow 15 kwietnia 1944 ukończył kurs oficerski z wynikiem bardzo dobrym. *„Zdałem oficjalny egzamin na oficera mechanika przed Komisją Egzaminacyjną pod przewodnictwem admirała Korytowskiego”* - pisze Wojtkowiak w swoim pamiętniku. Egzamin dojrzałości odbywał się w dniach 3.4.1944 - 5.4.1944. wg. Dz. Z. Sz. KMW 28/43 z 19.11.1943 r. Otrzymał zaświadczenie z Ministerstwa Spraw Wojskowych, KMW, 51, New Cavendish Street, London, W. l. 29 sierpnia 1945: *„Na podstawie zarządzenia Szefa KMW z 31 stycznia 1944 /Dz. Zarz. Szefa K.M.W. Nr. 4/44 poz. II/, jako Przewodniczący Komisji Egzaminacyjnej stwierdzam, że okaziciel niniejszego ppor. WOJTKOWIAK Józef zdał w dniu 15 kwietnia 1944, z wynikiem bardzo dobrym, egzamin pisemny i ustny, przewidziany w zarządzeniu Naczelnego Wodza z dnia 19 października 1943 w sprawie warunków mianowania chorążych marynarki na stopień podporucznika marynarki służby stałej. /Dz. Zarz. Szefa K.M.W. Nr. 28/43 poz.*

*1/. Podpisano: II Zastępca Szefa K.M.W. K. Korytowski. kontr-adm.”*

Z Glasgow, przed przyjazdem do Plymouth, pojechał do Edynburga na operację zatoki Heimora (polipy w nosie). Operacja nie była bolesna, ale najgorsze było wyjmowanie szwów,



Porucznik marynarki Józef Wojtkowiak  
w Plymouth, 1946

które tylko jeden z chirurgów potrafił wykonać bez sprawiania pacjentom udętki.

21 kwietnia 1944 został skierowany do Centrum Wyszkalenia Specjalistów Floty w Plymouth. 3 maja 1944 otrzymał promocję na pierwszy stopień oficerski - podporucznika marynarki i pracował jako instruktor-wykładowca a następnie kierownik kursu mechaniczno-elektrycznego w CWSF w



Porucznik marynarki Józef Wojtkowiak, 1947

Plymouth. Komendantem Centrum był kmdr ppor. Marian Kadulski. 20 września 1945 został awansowany do stopnia porucznika marynarki, pozostał w Plymouth, gdzie pełnił w dalszym ciągu tę samą funkcję aż do rozwiązania PMW w Anglii.

Wojtkowiak opracował dla uczestników kursów wiele podręczników i instrukcji, które zostały zatwierdzone do użytku służbowego w CWSF przez Szefa KMW wiceadmirała Świrskiego.

Oto wyciąg z rozkazu nr 43 z 13 lipca 1945r.

*„II. Podręczniki i instrukcje - zatwierdzenie do użytku służbowego w CWSF*

*Zatwierdzam do użytku służbowego w CWSF następujące podręczniki i instrukcje techniczne opracowane przez ppor. mar. J. Wojtkowiaka:*

- 1. Wielostopniowa turbopompa zasilająca Weir'a - typ bębnowy i pierścieniowy.*
- 2. Urządzenie elektro-hydrauliczne do sterowania typu BROWN.*
- 3. Telemotor sterowy BROWN'A typ pojedynczy.*
- 4. Pompy powietrzne tłokowe WEIR'A.*
- 5. Samoczynny regulator zasilania WEIR'A w zamkniętym obwodzie zasilania.*
- 6. Samoczynny regulator zasilania MUMFORD STEDIFLOW typ j.*
- 7. Parowy smoczek powietrzny WEIR'A MAXIVAC typ dwustopniowy Mark VI i typ trzystopniowy Mark V.*
- 8. Podgrzewacze, skraplacze pomocnicze, filtry 5 typów.*
- 9. Zamknięty obwód zasilania WEIR'A.*
- 10. Standardowa parowa tłokowa pomocnicza pompa zasilająca WEIR'A.*
- 11. Pompa skroplinowa WEIR'A (odśrodkowa) - część wodna.”*

Za napisanie 11 podręczników i instrukcji Wojtkowiak był wymieniony z pochwałą przez Komendanta CWSF kmdr. ppor. M. Kadulskiego w rozkazie dziennym nr. 184. wyciąg Nr. 13/45, 12 sierpnia 1945. Wojtkowiak pisze w swoim pamiętniku: „Przetłumaczyłem 16 podręczników technicznych

angielskich na język polski do użytku PMW, za co otrzymałem pochwałę Szefa KMW i zapłatę."

Jeden z przetłumaczonych podręczników to „Mechanizmy Pomocnicze”.

Następnym kierownikiem kursu maszynistów był por. Franciszek Preisner, który po ukończeniu angielskiej szkoły inżynierii morskiej służył na ORP *Garland* od maja 1943 do marca 1946 r., będąc przez ostatnie 2 lata jego I oficerem mechanikiem.

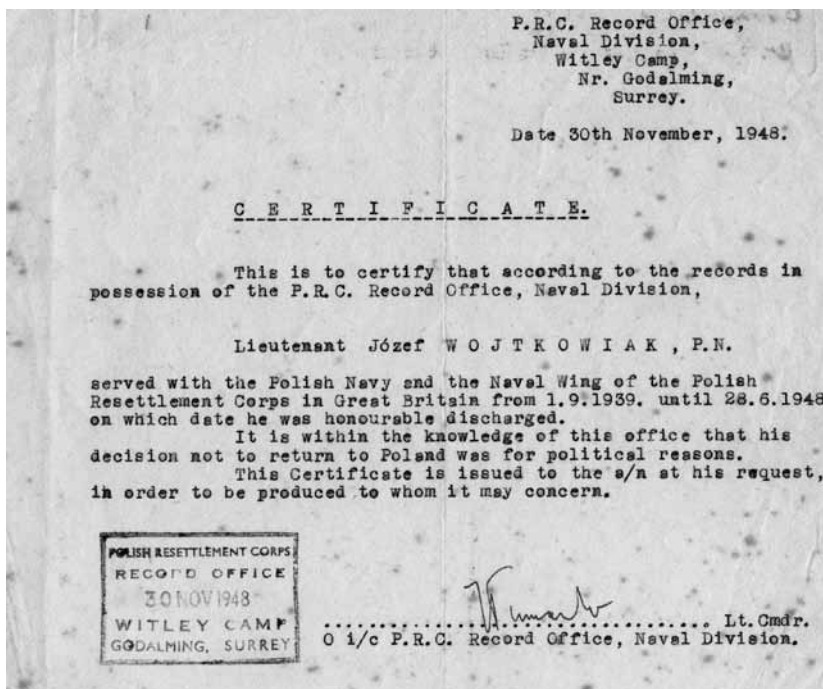
Przyszedł bardzo trudny okres dla wszystkich. Stanął przed nimi wybór: wracać do Polski, czy zostać w Anglii? Niektórzy wrócili, a wśród nich byli agitatorzy, którzy grozili Wojtkowiakowi szubienicą, jeżeli zawinie do kraju, ponieważ bardzo negatywnie wyrażał się o nowym reżimie.

Nadszedł w końcu czas, kiedy wszyscy musieli odejść do cywila i szukać innej pracy. 10 lipca 1946 Józef otrzymał dyplom II oficera mechanika we flocie handlowej. W czerwcu i lipcu 1946 zaczął starać się o obywatelstwo angielskie. Przyjaciele i znajomi z Cowes (H.C. Carey, A. Hoare. V. Richards, F.S. Billowes E, E. Day) i z RN (Lt Cmdr W. Jenkins. Office of Captain M/S. Malta) dostarczyli doskonałe referencje.

"Sherwood",  
Solent View Road,  
Gurnard,  
Cowes. I. of W.  
10th. July, 1946.  
TO WHOM IT MAY CONCERN.  
I have pleasure in stating that I have known  
Lieut. Josef Wojtkowiak since 1937 to date.  
During the building of the two Polish Destroyers  
at the Works of J.Samuel White and Company Ltd., Cowes, Isle  
of Wight, where I am employed, he was acting in the capacity  
of a Technical Delegate overseeing the construction of the  
Machinery for the Polish Navy.  
During the War period he served in H.M. Ships  
"Glowworm", "Garland" and "Piorun", and he is at the moment  
acting as Instructor at the Polish Naval Barracks at Devonport.  
Mr. Wojtkowiak has been devoted to the Service of  
his Country and has also been very loyal towards the British,  
and in my honest opinion he would make a most excellent citizen  
if he is granted British Citizenship.  
F. S. Billowes.  
(M. B. E.)

Opinia kolegi z okresu, gdy Wojtkowiak ubiegał się o obywatelstwo brytyjskie. 1946





Zaświadczenie z Polskiego Korpusu Przysposobienia i Rozmieszczenia o decyzji Józefa Wojtkowiaka o pozostaniu w Wielkiej Brytanii ze względów politycznych

13 listopada 1946 Wojtkowiak oddał swój pistolet typu MAUSER kal 7.65. Nr. 53585 wraz z 9 nabojami do zbrojowni CWSF w Devonporcie. Przyszła nowina, że otrzymał posadę Chief Engineer na s/s VILLAR należącym do firmy Lamport & Holt w Liverpoolu, toteż 15 sierpnia 1947 roku wymówił mieszkanie u pp. Alexander przy 2 Salibury Ter, Stoke w Plymouth i 22 VIII 1947 wyjechał do Londynu. 23 VIII 1947 otrzymał zwolnienie z PKPiR (Polski Korpus Przysposobienia i Rozmieszczenia) i zawiadomił Food Office i Policję, że tego dnia wyrusza w świat. W Londynie zatrzymał się na parę dni u swojej krewnej Kazimierzy Kawko i 25 sierpnia 1947 roku wyjechał do Liverpoolu. W Lloyds Banku pobrał 25 funtów, co było zezwoloną sumą do wzięcia na wyjazd. 28 sierpnia razem z innymi zaokrętował się na statek *Marsdale*. Wypłynęli rano następnego dnia do Nowej Szkocji w Kanadzie. 6 września 1947 przybył do Sydney. Oficjalnie praca na *Villarze* zaczęła się 24 sierpnia 1947 na drugi dzień po zwolnieniu z PKPiR.

Na *Villarze*, którego kapitanem był Anglik W. Kimmings, od razu szczegółowo zapoznał się z przedziałami okrętu, kotłownią, kotłami, maszynownią, maszynami, mechanizmami pomocniczymi, chłodnią, zbiornikami ropowymi i innymi urządzeniami. Postanowił utrzymywać wszystko w czystości i porządku, tak jak to było w PMW. Wkrótce wypłynęli w tropiki, a że statek kursował między Ameryką Północną i Południową, więc wszyscy zostali wyposażeni w

**VILLAR**  
**247233**

Nazwa statku Ship's name	<b>PANAMA</b>	Sygn. rozp. Code of sign.	
Tonaż D. W.	<b>NET 4563</b>	Sila maszyn Engine power	<b>IHP</b>
Właściciel Shipowner	<i>Panama S.</i>	Port rejestracji Port of registry	<i>Panama</i>
Kapitan Master	<i>60</i>		<i>W. Kimmings</i>

Okaziciel książeczki został przyjęty na statek  
i wpisany do spisu załogi:

**VILLAR** *14 Aug.* 19 **47** roku  
Date of engagement

**PANAMA** *62. Eugenio* Na czas  
Engagement For the time

**NET 4563**  
**HP 6000** m. p. **URZĄD**

Okaziciel został zwolniony:  
Dnia *6.6.49* 19 **49** roku  
Date of discharge

*J. Wojtkowiak*  
Podpis właściciela  
(Signature)

Zwolnienie stwierdza  
Discharge is testified

*W. Kimmings*  
Kapitan  
Master

*W. Kimmings*  
URZĄD  
Office

Adres najbliższej rodziny  
Home address of seaman's family:

JUN 23 1949

### Książeczka członka załogi s/s Villar

białe kombinezony, szorty, bluzy, letnie trzewiki i hełmy. Oprócz tego trzeba było pamiętać o zabezpieczeniu się przed chorobami tropikalnymi. 19 września 1947 byli w Nowym Yorku, gdzie wypłacono im pierwszą cywilną gażę.

W pamiętniku pod datą 20 września 1947 roku jest lista tych, którzy razem z Wojtkowiakiem pracowali na s/s **VILLAR**: Hess, Mayer, Zdanowicz, Igliński, Oksiński, Socha. Szczepski, Głuszek, Cichocki, Kutry i Dąbrowski.



Józef Wojtkowiak, oficer mechanik  
na ss **Villar**: 1947

30 września 1947 przybyli do Belem w Brazylii, a 1 października do Rio de Janeiro. 2 października 1948 roku Wojtkowiak otrzymał w Wydziale Konsularnym przy Ambasadzie Rzeczypospolitej Polskiej w Buenos Aires (placówka ta nie uznawała reżymu w Warszawie) zaświadczenie żeglarskie I mechanika okrętowego nr W-1725. Dokument podpisał sekretarz Bronisław Mechłowicz. Ci, którzy nie chcieli zwracać się do przedstawiciela administracji warszawskiej, korzystali z usług niezależnego poselstwa. Również tam Józef otrzymał nowy paszport polski SER.III Nr. 1725/26/48 wydany 29 V 1948 z ważnością do 29 V 1951. Jednak ważny był też jego Travel Document ECA 9486887 wydany w Anglii.



Józef Wojtkowiak .  
Bahia Blanca. Argentyna, 1948

W styczniu 1948 roku przypadkowo spotkał się na ruchliwej ulicy Avenida de Mayo w Buenos Aires w dzielnicy tzw. Centro z chorążym Janem Chmarą, kolegą z ORP PIO-RUN, który zaczął przy końcu lat 40-tych pływać na statkach handlowych z Gdyni do Ameryki Południowej. Później Wojtkowiak spotykał się jeszcze kilkakrotnie z Chmarą, za którego pośrednictwem przekazywał rodzinie w Gdyni dolary.

Buenos Aires nie podobało się Józefowi, ponieważ rządzą tam Peronowie i nie wolno było rozmawiać po angielsku nawet w sklepach, których właścicielami byli Anglicy. Ewa Peron koniecznie chciała przyjechać do Anglii i być przyjętą na dworze królewskim. Anglicy nie chcieli się na to zgodzić i tak się złościła, że zabroniła nawet w sklepach rozmawiać po angielsku. W Buenos Aires Józef odwiedzał por. mar. Zygmunta Kicińskiego, który po wojnie razem z Frankiem

 <b>ZAŚWIADCZENIE ŻEGLARSKIE</b> <b>SAILOR'S CERTIFICATE</b> RZECZPOSPOLITA POLSKA	
Nazwisko i Imię <b>Jozef WOJTKOWIAK</b> Name _____	
Urodzony <b>20.2.1898</b> Year of birth _____	
Miejsce <b>Nekla, Polska,</b> Place of birth <b>Poland</b>	
Obywatel <b>Rzeczypospolitej Polskiej</b> Citizen <b>of the Republic of Poland</b>	
<div style="display: flex; justify-content: space-between;"> <div>  </div> <div>             Poselstwo R. P.              Wydział Konsularny              LEGATION OF POLAND              Consular Dept.              Buenos Aires              KIEROWNIK WYDZIAŁU KONSULARNEGO              26.1948.              KONSTANTY RECHAWICZ              sekretarz Konsulatu           </div> </div>	
No <b>W-1725</b>	
Włosy: <b>ciemne</b> Description: <b>hair: dark</b>	Twarz: <b>owalna</b> Complexion: <b>oval</b>
Wzrost: <b>wysoki</b> Height: <b>tall</b>	Oczy: <b>brązowe</b> Eyes: <b>brown</b>
Znaki szczególne: <b>•/•</b> Marks _____	
Zestawiono i wydano na podstawie:	
Dowód osobisty <b>No. 1725/26/48</b> Polish Passport	Wydz. Kons. Poselst. R. P. Buenos Aires Polish Consul. Dept. of the Legation in B. Aires
Księżeczka wojskowa Military pass	Porucznik Marynarki Wojennej Lieutenant P.N.
Stosunek do wojska	<b>I. Mechanik Okrętowy</b> Chief Engineer

Zaświadczenie żeglarskie I mechanika okrętowego wydane przez Wydz. Konsularny Poselstwa RP w Buenos Aires, 2 X 1948

Dudkowiakiem prowadził przedsiębiorstwo elektryczne. W tym czasie Józef ponownie nawiązał kontakt z byłym członkiem Komisji Nadzorczej z Cowes, ppor. mar. Stanisławem Rodogostem-Uniechowskim, który mieszkał w Troy w USA i z kmdr. Piotrem Bukrabą mieszkającym w Lafayette, L.A. Z nimi korespondował do śmierci.

Bywało, że wjeżdżali w dżunglę nad rzeką La Plata. Zwierzęta i rośliny żyły tam spokojnie według praw natury. Małpy biegały po drzewach nie zwracając uwagi na ludzi, którzy tam się pojawiali. Jeden z przybyszów dla żartów zastrzelił małpę karmiącą małe małpiątko. W jednej chwili cała dżungla, jak gdyby dla solidarności, zawyla i podniósł się dziki niesamowity krzyk zagłuszający wszystkie naturalne odgłosy. W ten sposób natura dała znać człowiekowi, że nie wolno zabijać drugiego stworzenia.

Na Morzu Karaibskim niektórzy marynarze popisywali się, co według nich nazywało się odwagą, ale właściwie było szczytem ludzkiej głupoty. Skakali z *VILLARA* do morza, w którym pływały rekiny, chwając się, że uda im się przed nimi zawsze uciec. Wojtkowiak nie pozwalał na takiego rodzaju popis, ale na szczęście nigdy nie doszło do niefortunnego wypadku.



Pernambuco. Brazylia 1948. Wojtkowiak pierwszy z lewej

Po wygaśnięciu kontraktu 6 czerwca 1949 roku wrócił z Nowego Yorku do Anglii na s/s *PARTHIA*.

J.R. Groundwater, który przeprowadził inspekcję maszyn *VILLARA* napisał: „*Mr Wojtkowiak is industrious, competent and reliable Marine Engineer and in my opinion it would not be possible to find anyone more capable.*”

Dla wypełnienia czasu, jako hobbysta, Józef został wolnym słuchaczem na wydziale inżynierii morskiej na Uniwersytecie w Southampton od 7 września 1949 do 20 grudnia 1949 roku. Na Wigilię 1949 roku Wojtkowiak

wprowadził się do swojego domu w Plymouth, gdzie mieszkał już do końca swych dni. 1 lutego 1950 przyjął obywatelstwo angielskie. Z powodu trudności wymówienia polskiego nazwiska Józef zaczął nazywać siebie Mr Alderman.

Wkrótce zaczął pracować w Plymouth-Sutton w firmie REME. Praca wymagała od niego częstych prób na ścigaczach Royal Navy na morzu. Był więc przez jakiś czas w swoim żywiole. Zaczęły się redukcje i firma splajtowała. Dyrektor 17 października 1956 roku napisał: „*Mr Wojtkowiak is very studious and very conversant with technical subjects, he is most trustworthy, honest, sober and punctual. and I have no hesitation in highly recommending him to any employer.*”

17 grudnia 1951 otrzymał pilny telegram z Lamport & Holt proponujący natychmiastową posadę oficera mechanika na rejs do Japonii. Po krótkim namyśle odmówił, ponieważ miał już inną pracę na lądzie.

17 lutego 1956 roku został członkiem nr 4460 Graduatc Institute of Plant Engineers. Od 4 marca 1957 pracował w stoczni Devonport w Plymouth. Harold Grose, chief steward, co roku organizował w stoczni zbiórkę na prezent gwiazdkowy dla Józefa i co roku przynosił ten upominek jako wyraz uznania i przyjaźni.

## Pożegnanie

We wrześniu 1960 zakończył pracę w stoczni z powodu choroby. Jako członek Stowarzyszenia Marynarki Wojennej interesował się bardzo sprawami PMW, czytając po kilka razy od deski do deski „Nasze Sygnały”. Czytał książki o tematyce morskiej, które przychodziły z Polski od krewnych i przyjaciół. Choroba przykuła go do łóżka, przy którym stała butla tlenowa. Bardzo był szczęśliwy, kiedy jeszcze za życia doczekał się wyboru polskiego papieża. Jego lekarz, dr Frederick Dwyer, specjalnie przyszedł w ten dzień pogratulować wyboru kardynała Wojtyły. Umarł w nocy 16 lutego 1979 r. w swoim domu, ale w obcym kraju.

W służbie morza odwiedził takie kraje: Algier, Argentyna, Barbados, Belgia, Brazylia, Curacao, Dania, Egipt, Estonia, Finlandia, Francja, Gibraltar, Grecja, Irlandia, Islandia, Hiszpania, Kanada (Nowa Fundlandia), Litwa, Łotwa, Malta, Maroko, Niemcy, Palestyna (Grób Chrystusa), Polska, Porto Rico, Prusy, Rosja, Szwecja, Trinidad. Tunis, Urugwaj, USA i Włochy.

Mówił i pracował używając języka polskiego, francuskiego, niemieckiego, hiszpańskiego i angielskiego.

Okręty, na których służył: *EMDEN*, *SMS NYMPHE*, *S-16*, *V-159*, *OORP MEWA*, *GENERAL HALLER*, *KOMENDANT PIŁSUDSKI*, *GENERAL SOSNKOWSKI*, *WICHER*, *BURZA*, *GROM*, *BŁYSKAWICA*, *BAŁTYK*, *GARLAND*, *PIORUN*, *HMS GLOWWORM*, *TROMBE*, *OURAGAN* oraz statek *VILLAR*.

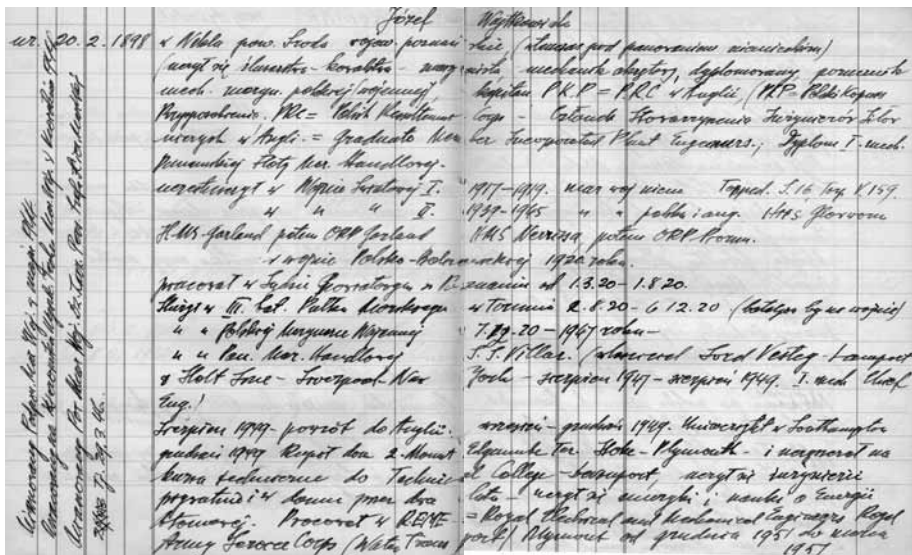
Został odznaczony: Polska Swemu Obrońcy 1918-1921, Na Polu Chwały Walecznym 1920, Brązowy Krzyż Zasługi 1928, Medal Dziesięciolecia 1928, Medal z Piłsudskim 1918-1928, 2 x Krzyże Walecznych, Medal Morski z

Potrójnym Okuciem. 1939-45 Star, Atlantic Star, Africa Star, Italy Star i War Medal 1939-45.

Sekretarz Stowarzyszenia MW kmdr Brunon Jabłoński napisał 20 lutego 1979 do wdowy: „Z żalem dowiedzieliśmy się o zgonie Pani Męża, który był jednym z naszych najstarszych Kolegów. Proszę przyjąć ode mnie w imieniu SMW nasze najszczerze kondolencje. Niech Panią Bóg pocieszy.”

\* \* \*

Opisana powyżej służba Józefa Wojtkowiaka w Kaiserliche Marine, Polskiej Marynarce Wojennej i przebieg pracy po zakończeniu wojny zostały odtworzone na podstawie licznych opowiadań mojego Ojca, prowadzonego dziennika i sporządzanych przez niego notatek. Nie było mu łatwo przechować te dokumentów, a szczególnie wtedy gdy nie miał stałego miejsca zamieszkania. W czasie wojny jedynie na okrętach, a po jej zakończeniu na s/s Villar (24 VIII 1947 – 6 VI 1949). Wszystkie dokumenty i cenne przedmioty trzymał w dwóch wielkich metalowych kufrach, z którymi podróżował po świecie. Od 1939 r. upłynęły 74 lata. Metalowe kufrы są u mnie, ale już nikt ich do podróży nie używa. Leżą na poddaszu, pamiętając stare czasy.



## Notatki Józefa Wojtkowiaka



Bibliografia:

- 1) E. Bradford. *The Life and Death of the Royal Navy's Proudest Ship*. White Lion London 1974.
- 2) E. Gröner. *German Warships 1815-1945*. London 1990.
- 3) R. Mielczarek, *ORP GROM*. Gdańsk 1970.
- 4) J. Pertek, *BURZA Weteran Atlantyckich Szlaków*, Gdynia 1965.
- 5) J. Pertek, *Pod Obcymi Banderami*. Poznań 1984.
- 6) A. Rylke. *W Służbie Okrętu*, Gdynia 1967.
- 7) W. Szczerkowski, *ORP BŁYSKAWICA*, Gdańsk 1970.
- 8) M.S. Piaskowski, *Konrtorpedowce WICHER i BURZA*. New York 1984.
- 9) M.S. Piaskowski, *Kroniki Polskiej Marynarki Wojennej 1918-1946*, t. 3, Albany NY 1990.
- 10) J. Wojtkowiak, *ORP WILLA w Cowes*, Wiarus, Gdynia. 9 I 1937.
- 11) The World At Arms, The Readers' Digest Illustrated History of World War II.
- 12) "Nasze Sygnały", nr 94, nr 127 (Pławski), nr 169 (Wizła), nr 170 i nr 172 (Troman)
- 13) The Isle of Wight County Press, 25 VII 1936 & 3 X 1936
- 14) Dziennik chor. mar. J. Wojtkowiaka 15 sierpnia 1939 - 3 stycznia 1940. Cowes.
- 15) Kolekcja dokumentów i fotografii por. mar. J. Wojtkowiaka
- 16) Notatki i opowiadania Wojtkowiaków.
- 17) Opowiadania kmdr S. Dzienisiewicza, kmdr S. Nahorskiego, kmdr B. Jabłońskiego, por F. Preisnera.
- 18) Korespondencja z Barbarą Januszkiewicz (siostrzenica księdza W. Miegonia).
- 19) Listy Mariana Wojtkowiaka (syn por. mar. J. Wojtkowiaka). Eugonii Jüngst (bratanica) i Tadeusza Walenczaka (siostrzeniec).



Józef Wojtkowiak z córką Wandą w Plymouth. 1957





Z córką w dniu jej ślubu  
1 sierpnia 1969 w Plymouth



Marian Wojtkowiak i Wanda Troman, dzieci Józefa Wojtkowiaka. Gdynia, 2010

Fotografie zamieszczone w tekście pochodzą ze zbiorów Wandy Troman, Mariana Wojtkowiaka, Mariusza Borowiaka i Narodowego Archiwum Cyfrowego.

Biografia Józefa Wojtkowiaka ukazała się w dodatku do „Naszych Sygnałów” w 1993 roku, nr 174. Na potrzeby publikacji „Ślady pamięci. Wojtkowiaków służba ojczyźnie” za zgodą Autorki materiał został skrócony i przeredagowany przez Jerzego Osypiuka i Mariusza Borowiaka.



## **Nekla, świat mojego dzieciństwa**

Mój ojciec, Józef Wojtkowiak, urodził się w Nekli w 1898 r. Od kwietnia 1914 do marca 1917 r. terminował u kowala Marcina Teclawa w Kostrzynie. Od 1 kwietnia 1917 r. rozpoczął jako dziewiętnastolatek przymusową służbę w Kaiserliche Krigsmarine. W tym czasie do marynarki i artylerii powoływano Polaków wyuczonych w określonym zawodzie, do piechoty – rolników. Po zakończeniu I wojny światowej zaciągnął się do powstającej w Modlinie Polskiej Marynarki Wojennej. Brał udział w wojnie z bolszewikami. Po zakończeniu walk został przydzielony jako maszynista na ORP Mewa, stacjonując w Pucku, pierwszym porcie Polskiej Marynarki Wojennej.

W 1925 r. ożenił się z Henryką Eleonorą Patulską, córką Józefy Patulskiej - Gurbada, która wraz z mężem wyjechała i osiedliła się we Francji, gdzie zmarła w wieku około 100 lat. Dziadek Gurbada prowadził w Nekielsce gospodarstwo rolne. Wracając z pola z kosą na ramieniu, zginął rażony piorunem. Siostra mojej mamy, Teodora, wyszła za mąż za Andrzeja Smordowskiego. W 1945 r. został zabity w Czarniejewie przez żołdaków rosyjskich, gdy stanął w obronie swojej żony.

W roku 1926 r. ojciec, jako bosman kadry, zamieszkał w Wejherowie, skąd codziennie dojeżdżał koleją do Pucka. W 1927 r. przyszedłem na świat właśnie w Wejherowie. W 1928 r. zmarła moja mama. Zaopiekowała się mną siostra ojca – Aniela, która była panną i mieszkała w Nekli z rodzicami na Zawodziu. Tak więc swoje dzieciństwo, bo aż do roku 1936, spędziłem u dziadków i ciotki w Nekli. Ciocia pracowała w pałacu, a dziadek był palaczem w gorzelni.

Mieszkaliśmy w jednej izbie z komorą. W izbie były dwa łóżka i kanapa, szafa, kredens (mówiło się za szkłem) i szyfonierka. Był duży stół i krzesła, 2 ryczki, maszyna do szycia i komoda. W rogu duży komin, a pod nim piec do wypieku chleba i wędzarnia. Przez izbę prowadziła długa rura od pieca w komorze. Tę rurę co jakiś czas dziadek wymiatał szczotką kominiarską, zamontowaną na długim sprężystym drucie. Na zimę dostawiało się jeszcze na środku



Marianna i Józef Wojtkowiakowie z  
wnukiem Marianem. Nekla, 1931

izby piecyk żelazny z jedną fajerką. Ogrzewanie było wystarczające, choć szyby w oknie prawie zawsze były zamrożone. Okno składało się z małych szyb oprawionych w żeliwną ramę, a dwie z nich w środku okna były uchylane. Na ścianach wisiały obrazy święte. W rogu izby znajdował się ołtarzyk z Matką Boską Niepokalaną Poczetą, na którym paliła się zawsze czerwona lampka oliwna. Lampka była napełniona olejem, chyba lnianym, na którym pływał knotek na korkowym krzyżyku. Jedno i drugie kupowało się u pana Majewskiego w rynku. U powały wisiała lampa elektryczna z „gruszką” na sznurze, z przeciwwagą na rolkach. Przeciwwagą było jajo porcelanowe wypełnione śrutem myśliwskim. Do czytania lampę opuszczano tak nisko, że mogła dosięgnąć stołu. Był też zegar ścienny, który wybijał pełne godziny. Napędzany był ciężarkami na łańcuszkach, a każdego wieczora naciągany przez dziadka i rychtowany, jeśli się opóźniał. Był też patefon nakręcany korbką, który dla cioci Anieli przywiózł mój ojciec, płyty ze szlagierami, muzyką ludową i kościelną. Nie grano często, gdyż w Nekli nie można było kupić igieł, a tępymi grać nie można. Ciocia Aniela miała też mandolinę, na której grała i śpiewała różne pieśni, przeważnie powstańcze i miłosne.

Gdy kiedyś przyszli do nas goście ze skrzypcami, to dziadek zagrał im skoczno kozaka oraz inne melodie, które znał z czasów kawalerskich i okresu, gdy pracował przy poszerzaniu Kanału Kilońskiego. Na szafie stała duża lampa naftowa z szerokim, zwijanym knotem, zapalana, gdy nie było „elektryki”. Poza tym była jeszcze mniejsza lampa naftowa z „odblaskiem” oraz lampa przenośna „nietoperz” do obrządku zwierząt. No i cylindry, często czyszczone. Podłogę mieliśmy z szerokich desek sosnowych, którą szorowano co tydzień i posypywano białym piaskiem, który trzeba było przywozić taczkami ze skarpy, która znajdowała się za zagajnikiem, przy drodze do Starczanowa.

Pracowało się zawsze. Dziadek po pracy w gorzelnii robił też grabie do siana, kosiska do koszenia trawy i ciężkie kosiska z grotami i przeciwwagą. Miał wiele różnych narzędzi. Robił pantofle i kujony oraz wyplatał koszyki. Duże kosze z dwoma uszami, kosze do kartofli, koszałki oraz małe koszyczki dla dzieci. Naprawiał płoty i chlewiki, lutował garnki. Chodził na jakieś zebrania i był skarbnikiem w Bractwie Różańcowym. W kościele opiekował się złożonymi w skrzyniach świecami i sztandarami, które wydawał przy okazji świąt.

Ciocia Aniela szyła sukienki sobie i znajomym, haftowała, prała i prasowała, pisała listy i jakieś podania. Chodziła do pracy u ogrodnika pańskiego, a także do robót w polu, do przerywki, do siana i żniw.

Babcia też była zawsze zajęta. Pierwsza wstawała. Przygotowywała śniadanie, paliła w piecach, oprzątała zwierzęta, gotowała obiady i kolacje, pięknie cerowała „snukaczką” pończochy. Robiła sery i twarogi, piekła ciasta i co tydzień chleb. Cały ogród i ogródek były też na jej głowie. Ale chyba najwięcej czasu poświęcała na przygotowanie jedzenia w komorze. Komora – było to pomieszczenie oddzielone od izby zasłoną, dość ciemne, bo okienko było wąskie i wysokie. Był tam piec dwufajerkowy, połączony z kominem rurą, która

biegła przez całą izbę i skutecznie grzała. Pod piecem popielnik i miejsce na suche drewno, dalej kista na węgiel i ława z różnymi kotłami i garnkami. Była też stągiewka z wodą i kwarta do picia. Szafka z zasłonką do mniejszych naczyń, koziołków, kopyści, i glinianych garnków na kwaśne mleko czy śmietanę. Były wiadra do wody i „centryfuga”, duża dębowa beczka na kapustę, stół do przygotowywania jedzenia i ceberek na kiszzone ogórki. A na ciężkich drzwiach drewniane wieszaki na ubrania robocze.

Wieczorami do babci i ciotki przychodziły różne koleżanki i kuzynki: Marynia Maciejewska, Władzia Sekulska, Nawrocka, Kasprowska i inne. A do dziadka różni starsi koledzy: Roszak, Szałek, Szalaty, Haremza i inni. Do niektórych dziadek mówił „chłopcze” i bardzo mnie to dziwiło. Opowiadali różne kawały, zażywali tabakę, rozprawiali o polityce, o przeżytych czasach wojennych, pracy w Niemczech, a najbardziej się bawili rozmową w „platdeutsch”. Czasami śpiewali wojskowe pieśni.

Raz na rok, latem, przyjeżdżała do babci jej matka z Targowej Górki – Jadwiga Cichońska, z domu Nowacka, która na stałe przebywała u swej drugiej córki Franciszki Kubiaczyk w gospodarstwie w Targowej Górcie. Raz w roku chodziła też babcia z pielgrzymką do Grodziszczka .

Wracam do opisu naszego gospodarstwa. Do budynku wchodziło się od strony zachodniej, do sieni wspólnej z sąsiadami. W sieni stała drabka na górę, gdzie było siano i drewno opałowe na zimę. Pod drabką dwa „patyki” dla kur i kaczek, a na ścianie haki na kosę, grabie, szleje i inne rzeczy. Każdego ranka pięknie i głośno piał kogut, budząc wszystkich domowników. Sień od izby oddzielały ciężkie drzwi brązowe z klamką kciukiem naduszaną i potężnym hakiem ze skoblem. Na dole próg szeroki. Pamiętam, że kiedyś, gdy nie było nikogo w domu, w ten próg wbiłem młotkiem wszystkie dziadkowe „jasne łebki”. Chyba z pół funta. Były nie do wyjęcia!

Naprzeciw naszego domu i pod oknem był ogrodzony płotem ze sztachet ogródek. W nim mała szopka na narzędzia i stara wierzba długolistna. W ogródku zagonki na koper, rzodkiewkę, sałatę, sznytloch, czosnek, cebulę i kwiaty: marcień, wysokie rumianki, astry, malwy, lwie paszcze a pod oknem:



Józef Wojtkowiak senior w okresie służby wojskowej w Hamburgu

nasturcje, duży krzak georginii, mak i mięta. W oknie zaś na parapecie zawsze były pelargonie i mirta.

Po drugiej stronie drogi mieliśmy „sklep” z oszalonej sionką, do której zimą wkładało się snop słomy aby nie przemarzły zgromadzone tam kartofle, buraki, ćwikła, korbole, marchew, pietruszka i seler. Na zimę „sklepy” okładało się jeszcze liśćmi z parku i łętami. Latem sadzono za nimi korbole, podlewane gnojówką i rozrastające się na cały sklep pędami i liśćmi jak parasole.

Z tyłu rosły też oset, „pinderynda”, śláz, łopiany, i chyba wysoka dziewanna. Kury się tam chowały, gdy na niebie pojawiał się jastrząb. Z tyłu, za domem były chlewiki z wybiegami dla świń i prosiaków. Były to dość małe pomieszczenia, ale ze spadzistym dachem pod dachówką, gdzie znajdował się stryszek ze słomą na podściółkę. Za chlewami stały wychodki. Każda rodzina miała swój. Raz do roku na wiosnę, przed orką, wywożone były z nich nieczystości i zakopywane dosyć głęboko z obawy przed chorobami. Każdy ustęp miał z tyłu klapę, za nią dużą skrzynię na płozach z hakiem, za który zaczepiało się konia i wywoziło na pole. Każda rodzina obok domu miała jeszcze różne szopki, gdzie trzymano drób, króliki i kozy. Szopki były zamykane na wytrych, a chlewiki na „śrubę” z odpowiednim kluczem. Za chlewami były ogrody warzywne – każda rodzina miała swoją działkę odgradzoną miedzami i ciągnącą się aż do łąki. Na działkach tych sadzono częściowo kartofle ale i kapustę, kalarepę, cebulę, groszek, groch tyczkowy, ogórki, szabel, mak itd. Dalej była łąka usiana jaskrami i kaczeńcami, przez którą płynęła struga (rów, żrenica – różnie ją nazywano). Były w niej pijawki i kijanki, jakieś małe szybkie rybki i pływające kaczki krzyżówki. Przez rów przerzucona była kładka z grubej dechy, przez którą można było skrócić drogę do kościoła, szkoły i piekarni p. Przynicznyńskiego. Struga odprowadzała wodę z Barczyzny i zasilala staw na Zawodziu.

W domu paliło się drewnem kupowanym u leśniczego, odmierzonym na sągi lub kubiki. Taki kubik to metr sześcienny drewna sosnowego, połupanego w „klofty”. Klofty takie trzeba było połupać na szczapy. Zajmowali się tym moi wujkowie, gdy przyjeżdżali na urlop. Najlepiej przy tej pracy czuł się wujek Tomek, ten policjant, który w ciągu dnia potrafił „poluchać” cały metr kloft. Latem paliło się sosnowymi gałązkami, które to dziadek otrzymywał w ramach deputatu, a które drwale w lesie układali w duże kupy, z jednym kłosem pośrodku, z nabitym przez leśniczego numerem. Taką pryzmę mógł sobie dziadek wybrać i przywożono mu ją do domu. Kiedyś zrzuciono nam taką masę gałęzi po drugiej stronie drogi. Zrobiłem sobie pod nimi mały szałas wyścielony



Tadeusz Walenczak na Zawodziu. Po prawej jeden ze „sklepów”, w głębi czworaki.

25 grudnia 1935

sianem. Zajmowałem go z jedną kurą, która zносиła tam prawie codziennie jajko i chwaliła się tym zawsze, głośno gdacząc.

Tak jak każdy pracownik folwarku, dziadek miał krowę we wspólnej oborze, która znajdowała się za gorzelnią. Miała bramę od strony zewnętrznej, a nie od podwórza. Przysługiwała mu też pewna ilość słomy na ściółkę. Gdy gnój wywożono, to każdemu na jego pole. Kowal Siwek i stelmach Markiewicz mieli po dwie krowy i w okresie, gdy pracowała gorzelnia, przysługiwało im po dwa wiadra wywaru. Gniewało to dziadka, bo w gorzelnii pracował, a wywaru nie dostawał. Otrzymywał jednak deputat i ordynarię.

Pracownicy z rodzinami mieli swoje chlewy, szopy i ogrody na warzywa blisko domu. Na kartofle zaś i ćwikłę otrzymywali na lato działkę. Za każdym razem gdzie indziej – z uwagi na płodozmian. Raz mieliśmy taką naprzeciw naszego domu, a innym razem naprzeciw drugiego zagajnika przy drodze do Starczanowa.. Dzisiaj jest tam chyba ulica Beutlera.

Jak wspominałem wcześniej, wszyscy w rodzinie zawsze mieli jakąś pracę i całodniowe zajęcie. Tylko ja, z racji wieku, miałem wolne i nie musiałem nic robić. Za to z najbliższymi kolegami byłem stale w ruchu. Bawiliśmy się w szukanego, gonionego, klipę, noża, itp. Robiliśmy jesienią „dracha”, „lotali my z felgą” czy z bakiem. Bakiem był wytoczony z drewna stożek z wbitym w czubek okrągłym łebkiem gwoźdźcia. Zapuszczało się go batem przez nawinięcie rzemyka na obwodzie i pędziło go tym batem jak najdłużej zacinając. Kiedyś, gdy ścieżka na Zawodziu była dobrze udeptana, to przegoniłem mojego baka z domu do Gościniaka i z powrotem, aż do stawu. To był rekord.

Gdy dziadek był w gorzelnii, codziennie na jedenastą nosiłem mu jedzenie. Zupę w kance i chleb, zawinięty w tkaninę, w koszyku. Zawsze miał przy sobie nożyk z dużym ostrzem, a do zupy łyżkę owiniętą haftowaną chustką w ładnej skrzyneczce, ułożone w schowku w kotłowni. Jesienią, gdy przychodziłem z tym obiadem, czekało na mnie upieczone pyszne jabłko. Piekło się na gorącym kotle parowym. Dziadek zrywał je z jabłoni zimowej, rosnącej koło kuźni na środku folwarcznego podwórza. W lecie chodziłem zrywać koniczynę lub mlecz dla królików, rwać kwiat lipy lub po prostu towarzyszyć kołegom, którzy paśli kozy na rżyskach lub rowach. Robiliśmy fujarki, gwizdawki i pierdaki z wierzby lub paliliśmy ogniska.

Starsi stale mieli pracę. Wstyd było być bezrobotnym. Gdy wujek Tomek wrócił z wojska i nie miał co robić, to tak długo mu wszyscy szukali pracy aż znaleźli. Robił dachówki cementowe u Piotrowskiego za złotówkę dziennie. Idąc obok gospodarstwa p. Piotrowskiego w kierunku kolei, miedzą dzielącą jego pola od gruntów pańskich, przed torfowiskami był mały placyk, wysypany czystym piaskiem. Stała tam mała szopa na narzędzia oraz usypana duża przyzma „kisu”, a obok cement w workach. Wujek mieszał łopatą żwir z cementem, dodawał wody nabieranej z torfowiska, nakładał do formy, a później na stole wstrząsającym, napędzanym pedałami, ubijał tę masę w formie. Po ubiciu wkładał gotowe dachówki na ubitym placu. Nosiłem mu tam śniadania i gapiełem się póki mnie nie wyganiał do domu.

Wcześniej dano mnie do „ochronki”. Nie podobało mi się tam. Prowadziła ją chyba p. Psujówna, która była koleżanką cioci Anieli. Długo tam nie zabawiłem, bo chyba byłem za dobrze ubrany, a ojciec marynarz. Ochronka była dotowana z gminy, więc się szybko skończyło.

Ważnym miejscem w mojej Nekli był staw. Tu często siedzieliśmy, puszczając kaczki, patrzyliśmy jak ryby dokarmia się łubinem, jak się wodę spuszcza i łowi ryby. Woda ze stawu spływała przez mnich do stawów rybnych położonych za parkiem, ale tam chyba ryb nigdy nie było, bo były bardzo płytkie, a niektóre suche. Nad stawem rosły stare wierzby białe a od strony pałacu ogromne topole. Po drugiej stronie stawu, za drogą, od strony południowej był mały stawek. „Kanałek, dołek” mówili, a nad nim



Marian Wojtkowiak w mundurku marynarza z ORP Burza



Marian Wojtkowiak z ojcem Józefem na kamieniu przy drodze do Starczanowa

wierzby płaczące, na których można było bujać się jak na huśtawce, bo gałęzie sięgały prawie do wody. Cały był porośnięty rzęsą, a w nim mnóstwo żab, które wieczorem dawały głośnie koncerty. W stawku tym było źródło i dlatego zimą nie zamarzał na środku. Nie chodziliśmy po nim nawet wtedy, gdy na dużym łód miał grubość 30 cm. Wycinano wtedy duże przeręble, wywożąc saniami kawały lodu do lodowni, która znajdowała się w obrębie parku za ogrodem warzywnym i za sadem. Między tymi dwoma stawami droga skręcała w stronę Starczanowa. Po prawej stronie tej drogi, odgrodzony wysokim płotem z szerokich sztachet i krzakami tarniny był ogród warzywny hrabiny, z krzewami agrestu i świętojankami. Dalej sad z pysznymi



gruszkami, które podkradaliśmy. Za nim były świerki, gdzie rosły pieczarki, aż do drogi poprzecznej, wysadzonej młodymi lipami, prowadzącej do drogi poznańskiej. Po lewej stronie drogi starczanowskiej były dwie glinianki, skąd dziadek przywiózł glinę do wyrównania podłogi w sieni (chodziliśmy wtedy kilka dni po desce) oraz trzy „zagajki” świerkowe, około 15-letnie, w których mieszkwały dzikie gołębie. Między zagajnikami przy drodze leżał duży kamień polny – głąz narzutowy ok. 1 m. średnicy.

Staw w Nekli zimą był rezerwuarem lodu, ślizgawką oraz skróconą drogą do kościoła i chłopskiej obory. Latem zaś, po św. Janie, przede wszystkim miejscem kąpeli. Skakało się (ja nie, bo nie pozwalali) z mnicha, gdzie była głębia i wypływało się jak najdalej. Kto dalej wypłynął, miał większą zasługę. Najlepszym pływakiem był pan Kajdan. Mieszkał najbliżej stawu u p. Woźniaka lub Menesa. Po skoku z mnicha potrafił przepłynąć pod wodą cały staw i wyjść dopiero po drugiej stronie w trzcinach, gdy wszyscy obserwatorzy już się najbardziej bali, że się utopił. A on z uśmiechem pod wąsem przychodził brzegiem, zabierał swoje ubranie i siedł do domu przebrać się. Kiedyś, gdy topił się syn kościelnego Czerniaka, kościelny skoczył na ratunek i też się zaczął topić. Kajdan ich obydwu uratował.

Idąc drogą wokół stawu, obok stajni cugowej, na której rosła winorośl, zaraz za bramą do pałacu zaczynała się aleja kasztanowa, po obu stronach ogrodzona pięknym ceglany płotem. W płocie tym, bliżej pałacu, stała kapliczka Matki Bożej Różańcowej. Po przekroczeniu drogi poznańskiej była gorzelnia z wielkim kominem i basenami drewnianymi na wywar. Dalej stajnie, obory folwarczne i obora chłopska. Po prawej, zaraz za drogą, stał dom folwarczny dla kowala Siwka i stelmacha Markiewicza. Niżej były ich „sklepy”, a jeszcze niżej duża pompa ogólnego użytku. Pompę tę miał kowal pod swoją opieką. Wymieniał uszczelki i zawory klapowe ze skóry, a zimą owijał słomianym grubym powrósem, by nie zamarzła. Dalej droga była wysadzana ogromnymi topolami włoskimi. Musiały mieć ok. 200 lat, bo mówiono, że były sadzone za czasów Sobieskiego. Droga prowadziła do leśniczego Czerwińskiego, a od niej boczne ścieżki na kirkut i na cmentarz ewangelicki. Przy tych ścieżkach był gdzieś duży kamień (ok. 60 cm średnicy), który rdzewiał i się kruszył. Może to był meteoryt? Dalej można było ścieżkami dojść do Nekieli, przy których pod młodymi świerkami rosło mnóstwo rydzwów. Zbieraliśmy całe kosze.

Jadąc drogą z kostki bazaltowej w stronę Brzeźna, po prawej była gorzelnia, za nią brama wjazdowa na podwórze folwarku, dalej dom administracji, kurniki, później zarośla czarnego bzu i akacji, a za nimi lekko opadająca polna droga do kisowni. Dalej droga w stronę Nekieli, a jeszcze dalej w stronę



Grób Józefa Wojtkowiaka

Brzeźna, na górze stał krzyż w miejscu cmentarza zmarłych na pomór w XIX w. Po lewej stronie drogi poznańskiej był piękny ceglany parkan, odgradzający park. Gdzieś za bramą wjazdową na podwórze folwarku była furta. Przy tej furcie, już wewnątrz parku, stały trzy „chłopki”. Były to kamienne bryły w kształcie ludzkiego korpusu z głową. Największy, ok. 1,5 m wysokości, był szary, gładki, z zaznaczonymi rysami oczu, nosa i ust, a z boku zaznaczone były jakby ręce. Dwa mniejsze ok. 1,2 m. oraz 0,8 m. były mniej wyraźne. Ale wszystkie wskazywały na to, że były to przedchrześcijańskie wyobrażenia bóstw. W Gdańsku stoją takie przy muzeum etnograficznym. Idąc od furty w głąb parku, można było dojść żwirową alejką do kortów tenisowych, a także do oranżerii, bażanciarń i pałacu. Wzdłuż drogi poznańskiej rósł las akacjowy, a za nim był już cmentarz, gdzie leży mój dziadek, zmarły w 1944 roku oraz inni bliscy. Za cmentarzem biegnie leśna droga aż do drogi starczanowskiej.

Folwark – podwórze. Tak narysowałem, jak zapamiętałem. Na pewno są tam inne proporcje, ale tak to mniej więcej wyglądało.

Na środku była studnia i poidło dla bydła oraz warsztat stelmacha, kuźnia i jabłoń. Od prawej: gorzelnia z dwoma kotłami i dwoma paleniskami, komin, na którym wyrosła brzoźka samosiejka, chlewnie i cielętniki, następnie obory – wysokie, podparte żeliwnymi ozdobnymi filarami, dalej brama i dół z wapnem, skąd za zgodą administratora brało się wapno do bielienia ścian, chlewów oraz kurników. Stodoła, chyba 3 boiskowa, ze słomą, sianem i łubinem, dalej spichrz piętrowy i tak jak stodoła, zbudowany sposobem szachulcowym. To znaczy poszczególne kwatery między belkami a słupami wypełnione gliną zmieszaną z siewką i oparte na pionowych szprosach. Dachy były płaskie pod papą. Dalej tzw. śpicherek i lamus, gdzie były stare uprząże, jakieś kotły, drewniane szufle do zboża, sita itp. Była też stajnia, ale tylko dla kilku koni, potrzebnych do robót bieżących w podwórzu. Właściwe stajnie, konie, wozy i narzędzia rolnicze znajdowały się w Stroszkach, gdzie mieszkali też furmani i rataje. Dlatego, że większość areалу majątku znajdowała się w Stroszkach. Dalej kurniki i gołębnik. O ile pamiętam, były chyba nieczynne. Gorzelany nazywał się Kaczmarek. W „śpicherku”, jak mówił dziadek, był kiedyś warsztat rymarski.

Zawodzie. Idąc od stawu w stronę rynku, naprzeciw ośmioraków były ogrody Józwiaków i Majchrowskich, „sklepy” rodzin mieszkających od południa, sklepy Wojtkowiaków, Bandosza, pole aż do wierzb Piotrowskiego i jego gospodarstwo. Na tym wielkim polu, naprzeciw naszych okien, jesienią odbywały się manewry wojskowe ułanów i jednostek piechoty. Bardzo ciekawe dla nas widowisko. Musiały się tam odbywać często. Po orkach wiosennych, gdy deszcz popadał, chodziliśmy po świeżej ziemi i znajdowaliśmy guziki wojskowe, sprzączki, niemieckie monety oraz różne, kolorowe odłamki szkła i porcelany, a także piorunowe kamyczki czyli skamieniałe belemnity.

Gospodarza Piotrowskiego pamiętam jako postawnego chłopca z wąsem, który wiosną zawsze woził z lasu „majoki”. Chyba 5 kłód na rozpiętym wozie, a na wierzchu „loda” łańcuchy, kliny i worek z obrokiem. Stawał przed swym



gospodarstwem na obiad i wyprzęgał konie. Po południu jechał do tartaku, który znajdował się przy drodze do dworca po lewej stronie, przed wieżą ciśnię i nastawnią. Za Piotrowskim było jakieś gospodarstwo, a za nim młyn parowy z wielką maszyną parową i olbrzymim kołem zamachowym. W podwórzu była zawsze wielka przysma węgla i mąki. Przed młynem zawsze kilka furmanek ze zbożem i po mąkę. Czasem samochód ciężarowy. Wokoło całe stado wróbli. Młyn stale huczał a rano gwizdał jak lokomotywa, wzywając do roboty. Za młynem była zagroda p. Kowalczyka, a przy drodze żywopłot z drutem kolczastym wewnątrz, który „kopał”. Widocznie było to przebicie od instalacji młyńskiej. Chodziliśmy tam z chłopakami dotykać tego drutu. Sprawdzaliśmy kogo bardziej kopnie – taka zabawa. Dalej było gospodarstwo p. Lierscha, który miał trzy ładne córki. Za Lierschem kościół ewangelicki i niemiecka szkoła przy krzyżu. W prawo droga do Środy, a w lewo skos na rynek przy „Rolniku.”

Wróćmy na początek Zawodzia. Po lewej stronie ogrody Menesa, ośmiolak i czworak folwarczny. Takie, mniej więcej, jak narysowałem.

Dalej był dom, w którym wynajmowano pokoje. Mieszkała tam zaraz po ślubie moja ciocia Aniela, a później Biniasiowie – Józef i Marian, moi koledzy. Dalej zagroda, w której mieszkał Zdzichu Solecki. Za nimi gospodarstwo wuja Marcina Maciejewskiego. Wuj miał za żonę Rozalię – siostrę mojego dziadka. Mieli córkę Marynię Kamińską (ciocia Marynia piekła chleb, duże okrągłe i lekko kwaskowe bochny, a moja babcia chlebny na blachach, słodkawe, no i zawsze dla mnie małą „kukielkę”, pyszną ze świeżym masłem) oraz syna Wicka Maciejewskiego. Wicek miał dzieci: Zygmunta, Wacka i Marysię (Mysię). Mysia, dziś Maria Polaczyk, mieszkała do niedawna na Zawodziu 16. Za nimi była studnia z kołowrotem i łańcuchem, gdzie się chodziło po wodę. Latem ja też chodziłem z wiadrami, a zimą, gdy wokół studni był lód, to nie pozwalano, bym się nie poślizgnął i nie wpadł do studni. Dalej był dom Najtkowskich, a za nim Kapcińskich. Brat mojego ojca, Janek, ożenił się w 1926 r. z Zofią Kapcińską i mieli córki Eugenię Jüngst i Marylę Sawińską. Obie mieszkają w Poznaniu. Dalej stolarnia Gościńiaka, który miał córkę Lutkę. Czasami tam



Tadeusz Walenczak z mamą Anielą i Marianem Wojtkowiakiem przed domem na Zawodziu.

17 maja 1937 r.



godzinami stałem i przypatrywałem się pracy stolarzy i pracującym heblarkom, krawcom, bandzegom i innym. Dalszych mieszkańców nie pamiętam. Było to przecież 75 lat temu.

W rynku, od strony zachodniej, stał duży dom i rzeźnictwo Beslera. Od południa była spółdzielnia „Rolnik” ze zbożem siewnym, nawozami i maszynami rolniczymi. Za nią „golorz”. Przed wejściem wisiał talerz, a w środku stał fotel, na nim deska do siadania dla dzieci. Dla oczekujących były krzesła gięte i „Mucha” do czytania. Maszynkę do strzyżenia miał tępą, ale zawsze pytał czy nie szczypie? Za nim był sklep kolonialny p. Majewskiego, w którym były też inne towary. Był to sklep wielobranżowy, a w nim śledzie w beczce, szuflady z mąką, kaszami, cukrem, solą. Były farby i świece, zapalki, nafta, oleje i knoty, gwoździe i grabie, był drut i skobelki oraz jasne łebki do „kujunów” i podkówki. A czego brakowało, pan Majewski sprowadzał w ciągu tygodnia ze Środy. Był to bardzo pogodny i życzliwy człowiek. Pamiętam, że kiedyś gdy stałem pod sklepem, bo zapomniałem po co mnie wysłali, wyszedł do mnie, wypytał o to co się w domu robi i gotuje. Sprzedał mi pół ćwierci funta pieprzu. Po przyjeździe do domu okazało się, że miałem kupić cynamon. Najbardziej pamiętam zamykane słoje z karmelkami, cyclokami, itp. Za Majewskim jeszcze inne domy, poczta, a na końcu rynku przy wyjeździe do Wrześni restauracja Arndta. Po drugiej stronie rynku była kuźnia Stachowiaka, w której podkuwano konie, okuwano wozy, Kowal posiadał „Szwajsaparat”. Pamiętam, że tym aparatem przyspawał mi „szajbkę do piki”, potrzebną do kostura, którym odpychałem się, stojąc na małych saneczkach, ślizgając się po rowach i zamarzniętym stawie. Raz się pode mną lód załamał, ale mnie szybko wyciągnęli koledzy. Mróz był taki, że gdy przybiegłem do domu, spodnie były jak z blachy, butów nie można było rozwiązać, ale pończochy specjalnie nie zmarzły. Myślałem, że dostanę w skórę, ale mnie tylko wytarli i wsadzili pod pierzynę. Dostałem gorącą herbatę z miodem do picia, a do nóg gorącą cegłą, owiniętą w ręcznik. I nic mi nie było ! O ile pamiętam, to z tamtej strony rynku był też ktoś, kto latem robił i rozwoził specjalnym wózkiem lody. Były to białe lody śmietankowe i niebieskie jagodowe. W wózku były specjalne naczynia, takie cylindry z pokrywą, obkładane lodem. Porcja w rożku kosztowała 5 groszy.

Dużą rolę w naszym życiu spełniał kościół. Dziadek był skarbnikiem w Bractwie Różańcowym. W święta wydawał świece i sztandary ze specjalnej dębowej skrzyni. Intonował pieśni w kościele, a w domu rozpoczynał modlitwę przed i po jedzeniu. Babcia też była w jakimś „zakonie”. Prenumerowała Posańca Serca Jezusowego, Rycerza Niepokalanej i chyba Tygodnik Katolicki. Dziadek natomiast Głos Wielkopolski, Robotnika i Orędownika. Gazety były czytane wieczorami. Na ścianach wisiały święte obrazy, przy drzwiach cynkowa kropielniczka ze święconą wodą. Codziennie rano i wieczorem wszyscy odmawiali pacierz. W niedzielę, gdy dzwoniono na mszę ubieraliśmy się i szliśmy do kościoła. Mężczyźni stali w kościele przeważnie z lewej strony, kobiety z prawej. Dziewczynki przy kaplicy św. Anny i Serca Jezusowego, chłopcy pod amboną. Ławki były opłacane. Każda rodzina miała swoje miejsce oznaczone

tabliczką z nazwiskiem. Dziadek miał miejsce w pierwszej ławce z prawej strony. Msze były odprawiane po łacinie. Dużo śpiewano. Żegnano się wyraźnym znakiem krzyża świętego. Na Agnus Dei czy Mea culpa trzykrotnie udarzano się w piersi, tak samo podczas podniesienia. I to bez wstydu. Do Komunii św. przystępowano, klęcząc przy szerokiej barierce przed ołtarzem, przykrytej białym mereszkowanym obrusem. Księdzu podającemu hostię towarzyszył ministrant podtrzymujący patenę. Nie przystępowano do komunii św. tak często jak dzisiaj, bo przed komunią świętą trzeba było się wyspowiadać i być w stanie łaski uświęcającej. Każdy mały grzech zabraniał przyjęcia komunii św. Msze były długie, śpiewane, kolana bolały od klęczenia. Obowiązkowe było wysłuchanie ewangelii oraz asystowanie w czasie przemienienia. Kazanie „można było” opuścić. Korzystali z tego młodzi kawalerowie, stojący przeważnie przy wyjściu i pod chórem, gdy im się kazanie nie podobało. Natomiast zawsze czekali, aż ksiądz ogłosi zapowiedzi. Kiedyś, pamiętam, gdy młody ksiądz Przynicznyński, wychowanek jezuitów, miał prymicję i w swym pierwszym kazaniu z ambony grzmiał na nekielskich grzeszników i piekłem straszył – to wszyscy młodzi wyszli z kościoła, bo słuchać nie chcieli „tegu gupka”, który był ich rówieśnikiem i do niedawna kolegą. Pousiadali na murowanym ogrodzeniu, ćmili „paklodoki” i wrócili na mszę dopiero na „Igitur” przed podniesieniem. Jakiś czas „kalkulowałem” na organach na chórze, ale w czasie świąt, gdy trzeba było więcej powietrza w organach to wzywano starszego młodzieńca, bo byłem za lekki. Organistą był p. Tądrawski. Śpiewając, śmiesznie przekrzywiał usta. Podziwiałem go za zdolności manualne, bo przecież śpiewał, grał obiema rękoma i obiema nogami, operował manualami, nuty przekładał, a nawet wiedział, co się na chórze dzieje. I nic mu się z tempem mszy nie myliło. Kościelnym był przez długi czas p. Czerniak, który potrafił zapalać i gasić kapturkiem na długim kijku najwyżej umieszczone świece, tak przy ołtarzu jak i w pajaku.

Kościół został wybudowany przez rodzinę hr. Żółtowskiego. Mają w nim swoją kaplicę kolatorską. Wejść do kaplicy można z zewnątrz, klucz do niej miała tylko hrabina i ks. Proboszcz. Mówiono, że gdy umierała hrabianka Anna, córka Franciszki i Teodora Żółtowskich, to zażyczyła sobie, aby całą swą, a należną jej, część majątku Nekla przeznaczyć na budowę nowego kościoła. Hrabia Żółtowski jej testament wykonał. Stąd jest ta kaplica św. Anny, a w jej oknach witraże św. Teodora i św. Franciszki, sprowadzone z Monachium w Niemczech. Hrabina Róża, synowa Teodora, zawsze w tej kaplicy modliła się na czerwonym klęczniku, ubrana w ciemne stroje. Przyjeżdżała do kościoła wolantem w dwa kasztany zaprzężonym albo czasem przychodziła pieszo, wychodząc przez furtkę parkową przy alei kasztanowej. Nad głównym wejściem do kościoła była płaskorzeźba Ukrzyżowanego na tle złotej mozaiki. Małe płytki, tej, ze złotego szkła mozaiki, odpadały i braliśmy je sobie na pamiątkę. Dziś nie ma po niej śladu. Dookoła kościoła rosły duże drzewa. Kościół obchodziły w święta procesje, a w poście ministranci z kołatkami.

Drugim, znaczącym w Nekli, obiektem był pałac w parku założonym za czasów napoleońskich przez ogrodnika Francuza. Przed wojną nigdy w pałacu

nie byłem, ale wiem od cioci i babci, które tam pracowały, że był hall, salon, buduar, biblioteka, kancelaria, kredens, pokoje gościnne, pokój na wieży, sala balowa a w piwnicach kuchnie. Przed pałacem zajazd i duży klomb kwiatowy. Bliżej drogi, z lewej strony pałacu, była wozownia i stajnia cugowa, a przy bramach stajni żeliwne łby końskie, mające zamiast wędzideł w pysku pierścienie do wiązania koni. Ciekawe, co się z tymi łbami stało? Od bramy wjazdowej do podjazdu prowadziła droga żwirowa. Po prawej była fosa z wodą. Wszystkie drogi i ścieżki w parku były oczyszczone z liści i chwastów, wysypane żwirem i zagrabione. Liście były jesienią grabione i wywożone z parku.

Sąsiadami w naszym domu byli pani Nawrocka z córką Władzią Kasprowską. Zięciem Nawrockiej był p. Wawrzyniak. Kasprowska miała córkę Domicelę i syna Wojtkę, z którymi się bawiłem. Po drugiej stronie domu mieszkali Bandosz i Tabaka. Tabakowie mieli dzieci: Adama, Stacha, Józefa i Zosię. Wszyscy to prawie moi rówieśnicy. W drugim domu mieszkali również rówieśnicy: Marych Menes oraz Jutka i Stefa Majchrowskie. Zaś w domu następnym, bliżej studni, Józef i Maryś Binaś. Wszyscy graliśmy w piłkę, boka, pasaliśmy kozy, chodziliśmy na gruszki, łupki czy papierówki. Jedliśmy różne owoce z ogrodów; tarninę lub „babi chleb” z rdestu. Trzeba było uważać, by nie jeść lulka, blekotu, pinderyndy. Czasem dzieliliśmy się chlebem, ale rzadko, co każdy dostał w domu, to zjadał szybko.

Apetyt nam zawsze dopisywał. Jeśli ktoś pobiegł do swego domu, to zawsze coś dostawał do zjedzenia; chleb z miodem lub powidłami, z masłem i na to jajecznicę albo z serem smarkatym czy twarogiem, marchew, jabłko, kalarepę czy nawet kartofel ugotowany w łupince, obrany i w wydrążonej dziurce nadziany masłem i solą. Wszystko było lepsze niż dzisiejsze chipsy.



Tadeusz Walenczak, po latach, z sąsiadką p. Nawrocką. Po lewej przetrwały przedwojenne pomieszczenia gospodarcze pomiędzy budynkami mieszkalnymi. 1957

Za ćwiartką domu Tabaków był płot z furtką na ogrody, kurnik, klatka z królikami Adama, buda psa „Bukieta”, który czekał tylko na dorosłych. I rósł żywopłot – kolczasty, na który mówiło się ciernie albo „Boże Rany”. Wiosną kwitł małym, kielichowatym, bladoliliowym kwiecikiem, z którego wysysaliśmy słodki nektar.

A co jedliśmy? Były zupy; szczawiowa – po szczaw chodziłem na łąkę, gdzie rósł szczaw i babka długolistna na rany, grochowa, warzywna, ślepe ryby, grzybowa z olszówek, parzybroda, kapuśniak, korbolowa z nagusami,



czereśniowa, żur, jagody z mlekiem i cukrem, barszcz czerwony, brukwiowa i inne. W niedzielę: jak kaczką to czernina, a jak kura to rosół z makaronem. A dla mnie specjalnie kurzy żółądek w kurzej łapce, owinięty flaczkami. Ten przysmak bardzo lubiłem. Na drugie danie było mięso z koźlaka albo królika, cynaderki, żeberka i zawsze pyrkę z sosem. Były też kluski, pyzy, klopsy, ryż z cynamonem, kasza z omastą, groch z kapustą, galareta, omlet i szpinak, kaszanka, trzęsionka, jarmuż, szabel, sałata, kalafior albo rzepa i tarta marchewka. Na deser był kompot z jabłek, rabarbar, budyń, agrest, korboł marynowany albo kompot z suszonych ułgalek. Rano, na śniadanie, przeważnie była polewka z kartoflami w łupinach, naworka, kawa zbożowa z cykorią, chleb ze smalcem, z leberką, z twarogiem, „kockami” albo ze śmietaną i posypyany cukrem. Na kolację mogła być zupa z obiadu, cebula smażona z chlebem, plindze, pyrkę z gziką, albo drobno siekana cebulka z olejem i pyrkami w łupinach. Chleb z masłem albo powidłami. Czasem śledź w śmietanie albo pieczony i marynowany. Czasem też ciasto drożdżowe z kruszonką lub chleb obsmażany na maśle, a wcześniej moczony w mleku. No, a po zabiciu świniaka, było wiele potraw mięsnych; maciek – salceson, wędzonka, knebloszka, wątróbka, nóżki i inne.

W Nekli ludzie starsi chodzili z „lolom” i zażywali tabakę. Grupowali się w swoich kółkach. Kobiety chodziły w chustkach, spódnicach i kabatach i też miały swój krąg znajomych. Znana była w Nekli babka Stroińska z tego, że miała cięty język i dowcip, czyli szpas. Była to „wielka pijaczka”, co dzień wypijała „bombkę” a na święta kupowała u Majewskiego „kwaterkę”. Dzisiaj tyle wypija pierwszy lepszy chłystek. Co jakiś czas przechodził przez Zawodzie „gupi” ze Starczanowa. Młody człowiek, trochę upośledzony umysłowo, ale przez dzieciaków prześladowany. Rzucali w niego kamykami i wołali „gupi, gupi”. Wstydział się przechodzić, ale nikomu krzywdy nie zrobił, choć się odgrażał.

Był też Woźniak, „wielki komunista”, dlatego, że do kościoła nie chodził. Często pozostawał bez pracy. Latem tukał kamienie przy drogach. Często go obserwowałem podczas pracy przy drodze do kolei. Klęczał na grubej poduszce z worków przy dużej przymie kamieni polnych. Na lewej dłoni miał wielką szmacianą łapawicę, a w prawej duży kwadratowy młotek. Długo oglądał każdy kamień, kładł go na większym i jednym uderzeniem rozłupywał według słoików. To był dobry kamieniarz. Nikt tak nie potrafił. Mówiono, że zimą jeździł nocami do stogów w polu i wymłacał ziarno, wsadzając kłosa w szprychy odwróconego roweru, kręcąc ręcznie pedałem. O ile się nie mylę, to był on pierwszym komendantem polskiej Milicji Obywatelskiej w Nekli po ucieczce Niemców. Zapamiętaną przeze mnie osobą w Wójtostwie był „Michałek”. Chodząc po wsi dzwonił dużym dzwonkiem i zwołanym grupkom neklań odczytywał obwieszczenia wójtów.

Czasem dziadek rozmawiał też z p. Haremzą, który lubił pochwalić się swoim synem, kapitanem marynarki handlowej. Kapitan Władysław Haremza uzyskał patent oficerski w marynarce niemieckiej, w okresie międzywojennym wybudował dom w Gdyni – Orłowie, przy dzisiejszej Alei Zwycięstwa 236.

Obecnie ten dom jest odchylony od pionu, gdyż stoi na skraju dawniejszych podmokłych łąk.

Przez Zawodzie przechodzili często domokrażcy z nićmi i guzikami, ze szprotkami, z zapalkami i papierosami (choć na to był monopol). Roznosili „pitlingi”, ostrzyli noże. Jeździł „nośpłat”- za szmaty, żelastwo i butelki dawał garnki albo lutował dziurawe „szybkim lutem”. Raz przyszedł do nas gość, który sprzedawał sacharynę. Akurat był u nas na urlopie wujek Ludwik, który służył w Straży Granicznej koło Chojnic. Jego czapka wisiała na wieszaku w izbie. Gdy tę czapkę zobaczył, jednym susem z domu wyskoczył i wujek już go na oczy nie zobaczył.

Kiedyś przyszło do nas dwóch młodych wędrowców. Chcieli, aby im dać chociaż po złotówce. Babcia odpowiedziała, że może im dać pół chleba, a na złotówkę to tu trzeba cały dzień pracować. Strasznie się oburzyli, zwymyślali babcię, czymś grozili i sobie poszli. Od tego czasu babcia drzwi na haczyk zamykała i gdy jej nie było, nie pozwalała mi nikogo do domu wpuszczać. Dziadek mówił, że to komunistyczni agitatorzy łążą, a goni ich polska policja.

Miłymi wydarzeniami w rodzinie były wizyty pozostałych członków rodziny, którzy odwiedzali swoich rodziców przeważnie przy okazji świąt. Spotkania takie były okazją do zrobienia wspólnej fotografii. Najczęściej robił je wujek Walek mieszkowym aparatem.



Wojtkowiakowie z gośćmi przy drodze do Starczanowa. Stoją od lewej: dziadek Józef Wojtkowiak, Piotr Walenczak (brat Leona, męża Anieli), Jan Wojtkowiak, Franciszek Wojtkowiak, Tomasz Wojtkowiak, Leon Walenczak. Siedzą od lewej: Marta, żona Piotra Walenczaka z synkiem Mietkiem, żona Jana, Zofia, z domu Kapcińska z córką Genią, Anielą z Marianem, synem Józefa i Henryki Wojtkowiaków

Cały ten czas, który opisuję, minął mi bardzo szybko.

Gdy ojciec powtórnie ożenił się, zabrał mnie do Gdyni i tam już chodziłem do szkoły aż do 1939 r.

Nekla, jako świat dzieciństwa, na zawsze została w mojej pamięci.

## Wojna

Po wybuchu wojny w 1939 r. hitlerowcy wyrzucili nas w październiku z mieszkania w Gdyni. Jadąc przez Brodnicę nad Drwęcą, uciekliśmy z transportu do rodziny jednego z wujków. Zima 1939/40 była ciężka, mroźna i głodna. Poodmrażane miałem ręce i uszy. Jedzenia było coraz mniej. W tej sytuacji wysłano mnie pociągiem do dziadków w Nekli. Słusznie myśląc, że tam łatwiej przeżyję. Do Nekli dotarłem w lutym 1940 r. I choć też było słabo z żywnością, to nieporównanie lepiej niż w Brodnicy. Wiosną najęli mnie do pasienia cielaków, bowiem całe stado, 40 sztuk zostało przepędzone ze Stroszek do Nekli. Za ten wypas dostawałem 5 marek. Były to pierwsze zarobione przeze mnie pieniądze. Oddałem je babci, choć pytała, co chcę za nie mieć? Treuhaender osadzony na majątku, sprowadził do Nekli woły. Siwe, duże, z rozłożystymi rogami, rasy węgierskiej. Były bardzo silnej budowy, tuczone z przeznaczeniem na ubój. Kiedyś przygniotły oborowego w bramie i połamały mu żebra.

W sierpniu 1940 r. ja, jak i wszyscy moi rówieśnicy, zostaliśmy zobowiązani do chodzenia do niemieckiej szkoły. Było nas około 25 uczniów i uczyliśmy się w szkole niemieckiej koło krzyża. Uczono nas pisać w „spitzschrift”, tz. gotykiem, arytmetyki i języka niemieckiego z ładnego, kolorowego elementarza. Uczyliśmy się mówić wiersze i śpiewać niemieckie piosenki. Nauczycielem był herr Hinz, który przed wojną był parobkiem u Heusslera, gospodarza ze Starczanowa. Okoliczni Niemcy nie spolonizowali się. Nie rozmawiali po polsku, choć polski rozumieli. Władze niemieckie przed wybuchem wojny oddziaływały na miejscowych Niemców, przygotowując ich do przejęcia władzy i pełnienia określonych stanowisk po rozpoczęciu wojny. Zaraz po wkroczeniu Niemców Heussler został wójtem, Hinz nauczycielem, Warnecke – treuhaenderem u Majewskiego. Hrabina Żółtowska została wysiedlona (zamieszkała w Gnieźnie). Zarządzanie majątkiem przejął Treuhaender czyli „powiernik”. Pałac zajęła organizacja „Bund Deutscher Madel”, skupiająca dziewczęta niemieckie. Dziewczęta te chodziły na wycieczki, a ich hasłem nawoływania się było „Haaloo ! PLO! PLO!”, które często można było usłyszeć. Gdy dzieciaki we wsi zaczęły je przedrzeźniać, to i one przestały się nawoływać.

Nauczyciel Hinz z nami nie patyczkował się. Kiedyś, gdy wywołano go z klasy do jednej ładnej pani, poczuliśmy się wolni i śpiewaliśmy sobie po polsku: „Miała baba koguta...” i jeszcze jakąś piosenkę. Gdy skończył rozmowę za drzwiami, wpadł wściekły i czerwony do klasy, zrobił nam straszne piekło. Skakał po ławkach i linijką lał każdego, kto mu się pod rękę nawinął. Wstydził się tego, że nie potrafi utrzymać w ryzach tych „polnische proszätken”. Każdy z nas musiał do następnego dnia napisać 100 razy długi zwrot w języku niemieckim. Zajęło mi to pół zeszytu.

W tamtym czasie przez Neklę wiodła główna droga łącząca Berlin z Warszawą. Gdy w czerwcu 1941 r. Niemcy przegrupowywali wojska na wschód, przez Neklę przejeżdżały dniem i nocą bardzo liczne transporty konne i samochodowe. Przyglądaliśmy się im z ciekawością. Aż kiedyś do chłopców stojących przy płocie parku, naprzeciw kurników, rozśpiewani i rozwydrzeni żołdaci zaczęli strzelać. Jednemu z chłopców przestrelili udo od wewnętrznej strony. Celowali w genitalia. „Übermantschen und Kulturtrager”! Podczas tych przemarszów zatrzymała się w Nekli pewna grupa wojskowych. Zakwaterowany został do nas oficer – lekarz, który dał dziadkowi jakieś lekarstwo. Gdy koło Józwiaka przy stawie stanęła konna kuchnia polowa – rozdawano dzieciom pyszne, o niepowtarzalnym smaku kremy: śmietankowy, pistacjowy i czekoladowy. Każdy musiał przynieść swój talerz i dostawał czubatą chochlę kremu. Mnie kucharz nie chciał dać, bo byłem za duży. Powiedziałem, że to dla siostry... i dał! Później okazało się, że było to trofeum z Francji, skąd wracali, a kuchnia polowa musiała być opróżniona do gotowania jedzenia dla wojska.

Mojego wuja Walka Wojtkowiaka Niemcy stale poszukiwali. Był on przed wojną sekretarzem gminy w Kleszczewie. W gminie tej mieszkało wielu Niemców i chyba im dobrze zaszedł za skórę. W jego sprawie wzywano dziadka na policję, bito, by dowiedzieć się o miejscu pobytu syna. Dopiero gdy w papierach doszukali się, że dziadek był w pruskim wojsku i miał jakieś odznaczenie, to dali mu spokój. Dziadek przy poszerzaniu Kanału Kilońskiego przepracował 2 lata. Na wojnie też był dwa lata.

Nie pamiętam, w którym to było roku wojny. Z moją babką udawaliśmy się koleją do Kostrzyna, do ciotki Antkowiakowej, siostry dziadka. Poszliśmy na dworzec. W pobliżu dworca, od strony Stroszek, stały baraki ogrodzone drutem kolczastym, w których byli więzieni Żydzi, zatrudnieni przy budowie drugiego toru kolei. Przy barakach był ogródek, w którym uprawiano warzywa do wspólnej kuchni. Mówiono, że jest tutaj więziony jeden Żyd z Gdyni. Budynek dworcowy był całkiem pusty i wysprzątany. W okienku siedział kasjer, który sprzedając nam bilety, mówił po niemiecku. Zdaje się, że był to Polak, ale mówienie po polsku było surowo zabronione „streng verboten”, o czym informowała wywieszona nad kasą kartka. Podobnie jak w restauracji Arndta w rynku wisiała kartka z napisem „Für Polen und Hunde – streng verboten”.

Drzwi do budynku dworca były dwuskrzydłowe, a na środku progu wymalowana białą farbą krecha. Żydzi pracujący tu na torach musieli przez te drzwi przechodzić. Mieli prawo przechodzić tylko lewą stroną. Gdy byli pędzeni do pracy, przy tych drzwiach stał kapo i gdy tylko któryś z Żydów przekroczył tę linię, dostawał po nogach lub plecach bykowcem lub kluczem do przykręcania szyn. Nadzorcą był sadystyczny „kapo”, na pół umundurowany, niskiego wzrostu, krępy i patrzył na nas podejrzliwie. Jak mówili, używał tego klucza często. Uderzenie takim narzędziem zawsze powodowało złamanie kości nogi, obojczyka lub nawet czaszki. Na torach Żydzi ładowali tłuczeń na niski wagon, taki 10-cio tonowy z przechylanymi bokami. Na „grymasy” nabierali po kilka kamyków i z wielkim trudem wrzucali na platformę. Tacy byli słabi.

Gdy trzeba było ten wagon popchnąć, to otoczyło go chyba ze 30-tu więźniów, i pomimo krzyków i bicia, nie mogli ruszyć z miejsca. Dopiero gdy zawołano do pomocy dwóch polskich kolejarzy – ruszyli – i popchnęli o jakieś 100 metrów.

W lecie 1941 roku wypatrzył mnie „Michałek”. Zameldował w gminie i dostałem wezwanie do Arbeitsamtu w Środzie. Gdy dziadek wypomniał mu, że podał mnie, który nie ma jeszcze 14 lat, ten ze śmiechem odparł: Nie ma, ale będzie miał. Pojechałem z dziadkiem do Środy. Przebadali mnie pobieżnie i dostałem przydział do Wilhelma Wendlandta w Trzeku, „baltendeutsche” spod Rygi (Łotwa) jako „huten junge” 15 DM. Było to gospodarstwo po Polaku Tokarzu, wysiedlonym do Generalnej Guberni. 96 mórg pola, 3 konie, 12 krów, 20 świń, kury i kaczki. Wendlandt miał żonę Lidię i córkę Bertę, służącą Pelagię Małecką z Siekierok Małych i parobka Mieczysława Szpurę z Kongresówki. Dochodził też do pracy w polu, rok starszy ode mnie Gerard Weiss. Jedyny we wsi Niemiec – wyrobnik, słaby umysłowo, nawet do Hitlerjugend go nie przyjęli. U tego Niemca przepracowałem całą wojnę jako „knecht” za 15 marek miesięcznie.. Dostawałem tylko kartki na mydło i tytoń. Kartkę na tytoń oddawałem dziadkowi na tabakę. Co miesiąc mogłem iść do Nekli z praniem. Chodziłem przez Czerlejno, Klony, Starczanowo, - 18 km pokonywałem w 3 godziny. Czasem latem dostawałem rower od „Bertschen”, to było mi łatwiej. Pelagia, czyli Pela, nastawiona była patriotycznie. Kiedyś Niemiec wybił jej zęby za to, co mówiła. Mietek „galicjok” umiał się z Niemcem porozumieć, bo obaj trochę znali rosyjski i wszystko na nas donosił. Gdy w 1945 Niemcy uciekali, to Mietka zabrali ze sobą.

W drugiej połowie stycznia 1945 r. mieliśmy dwa dni bezkrólewia. Nie było ani Niemców, ani Rosjan. Wtedy z kolegą Stasiem Szypurą poszliśmy w śniegu do Kostrzyna. Zobaczyliśmy szabrowników, szukających łatwego wzbogacenia się. Przy fabryce wózków dziecięcych zobaczyliśmy kobietę pchającą w śniegu przed sobą 2 wózki (jeden na drugim), za sobą ciągnęła też dwa wózki tak samo złożone. Gdy spytałem, czy chce mieć tyle dzieci, chciała mnie pobić. Poszliśmy do mojej ciotki Antkowiakowej. Mieszkała przy Rynku 2. Właśnie przyszła z rozbitego sklepu, skąd ludzie wynosili co się da. Ciotka była już stara i słaba. Ludzie odepchnęli ją w sklepie od lepszych towarów. Przyniosła tylko pęk gumek do weków i 12 łapek na myszy. Jej syn Wicek, który przeszedł lata obozów, gdy to zobaczył, zaczął się trząść i prosił: Mamo, odnieś to zaraz, bo jak Niemcy wrócą, to nas pozabijają. Ciotka nie bała się i wyperswadowała, że nie ma możliwości powrotu Niemców, gdyż Rosjanie są już w Poznaniu.

Gospodarstwo, w którym pracowałem, zajęli Rosjanie i rozłożyli radiostację. Było trzech mężczyzn i trzy kobiety w mundurach. Pierwsze, czym się zajęły, to szycie na maszynie. Nie umiały ani nici założyć, ani pedałować. Chciały, aby im założyć korbkę do kręcenia, tak jak było w Rosji. Pelagia je uczyła na migi. Przyjeżdżali Rosjanie z zaopatrzenia i po kolei wywozili krowy i świny. Drób zjedli ci od radiostacji. Pozostał mały koń, który stał za przepierzaniem. Któregoś dnia, gdy się trochę uspokoiło, odwiozłem bryczką naszą Pelę do rodziców w Siekierkach. Następnego dnia rano o świcie, gdy Rosjanie

spali, zaprząłem konia i wraz z Hirkiem Matuszakiem, synem listonosza w Nekli, zabierając swój dobytek, uciekliśmy przez Czerlejno, las, tory kolejowe, Starczanowo do Nekli. Zostałem na Zawodziu, a Hirek pojechał do domu w Kokoszkach. Miał wrócić, ale mu ruscy konia zabrali.

W tym czasie było już wszystko rozebrane, co po Niemcach zostało. Najwięcej wyszabrowano w kościele. Były tam jakieś tłuszcze jadalne, szare mydło w beczułkach, mundury i czapki Organizacji Todta i materiał na mundury. Ciotka moja, Aniela, zdołała z tego tłumy wyrwać się z kilkoma żelówkami do butów, płaszczem, marynarką mundurową i dwoma parami skórzanych pantofli gimnastycznych. Chodziłem w tych pantoflach, trochę małych, całe lato, a mundur ciocia przerobiła mi na marynarkę zimową.

W pałacu i w parku w Nekli stacjonowało wojsko rosyjskie. Był to batalion karny, chyba trzy kompanie. Dowództwo mieszkalo w pałacu a szeregowi w parku. Każdy pluton miał swoją ziemiankę, a przed nią jakiś swój herb i komunistyczne hasło, na małym jakby klombie wyłożone z kamyków, kolorowych szkiele i porcelany. Ładne to było! Kompanie maszerowały codziennie w zwartych sztykach i pięknie śpiewały, a zapiewało był wyróżniony czerwoną wstążką. Gonili ich po różnych polach i wertepach. Codziennie mieli apel i defiladę przed pałacem. Przez Neklę znów przewalały się masy wojska. Przy ul. Poznańskiej była komendantura wojenna. Komendantem był kapitan niskiego wzrostu, zwany komisarzem. Był on postrachem dla różnych maruderów czy dezertierów. Podobno kilku osobiście zastrzelił.

Gdy przez Neklę przechodziło polskie wojsko – doszło do utarczek między nimi a ruskimi. Była jakaś strzelanina. Batalion karny zaraz uzbrojono, dowodzenie przejął „komisar”. Na młynie postawiono karabin maszynowy. Polaków wkrótce rozbrojono. Aby nie oddać broni, jeden z polskich oficerów wyrzucił pistolet do stawu. Ale na szczęście się jakoś wszystko uciszyło.

Z jedzeniem w tym czasie u nas nie było dobrze. Trochę „tuszonek” dostarczali nam rosyjscy szoferzy. U nas mieszkalo trzech Iwanów: Iwan, Wania i Waniuszka. Iwan pochodził z Leningradu. Przywiózł z Niemiec buciki – damskie szpilki, sukienki i nocne koszule, jako suknie balowe, i perfumy. Ciocia pakowała to do paczek i wysyłała do Rosji. Nigdy nie była pewna czy dojdą, bo nie były w przepisowym „jaszczyku”. Wania był taki przeciętny, a Waniuszka to rozrabiaka, nożem budzik przebił, bo mu dzwonił za pazuchą. „Gierman kaput” krzyczał i stale oglądał się za dziewczyskami.

Po powrocie z Trzeka od razu zacząłem pracować u piekarza. Bez zapłaty, ale codziennie dostawałem jeden chleb. I to było ważne. Później terminowałem u krawca Strzyżewskiego, za co uszył mi ubranie z materiału, który ofiarował mi wujek Walek. Gdy otwarto szkołę, zacząłem się uczyć, gdyż przed wojną ukończyłem tylko 5 klas. Kierownikiem szkoły został pan Wicher. Był przewodniczącym koła PPR-u w Nekli. Miał się za artystę i kogoś lepszego niż otaczające go pospólstwo. Za naukę kazał sobie płacić jajkami. Codziennie każdy miał mu jedno jajko przynieść. Bo jak mówił, pochodzi z miasta i tu na wsi musi teraz żyć z rodziną na odpowiednim poziomie.

W podwórzu folwarku była duża stodoła, w której Niemcy utworzyli magazyn leków potrzebnych na froncie. Były tam bandaże, opatrunki, gaza, gips i szyny. Mnóstwo jakichś zastrzyków oraz leki w pigułkach i fiolkach. Ludzie szukając tam, rozdeptywali mnóstwo leków. Wiedzieli tylko, że potrzebna jest glukoza. Wujek z Poznania przywiózł mi spis kilku leków dla kliniki, ale żadnego z nich nie znalazłem. Spotkałem za to pana Wichra, gdy tam buszował wśród kartonów.

W domu miałem za to co czytać. W szafie było dużo książek, przeważnie uratowanych od spalenia przez Niemców. W 1939 r., gdy zajęli pałac i wysiedlili hrabinę, wyrzucili na stos całą pałacową bibliotekę. Gdy na ten stos donosili kolejne egzemplarze, to ciocia Aniela, która w pobliżu grabiła liście (bo park musiał być sprzątny), podkraadała się i zabierała książki i chowała w liściach. Później z dziadkiem, który dostał pozwolenie na zabranie liści, jak co roku, taczkami te liście wraz z książkami przywoziła do domu. Tak znalazły się u nas dzieła wszystkie Mickiewicza, „Potop”, „Quo Vadis”, wiersze Tetmajera, Nowele Sienkiewicza, „Kamizelka” Prusa, jakieś pamiętniki, „Farsa panny Heni”, „Między ustami a brzegiem pucharu” i inne. Z naszych rodzinnych starych mieliśmy roczniki „Pielgrzymia”, stare śpiewniki, Historię Polski wierszem, książki Konopnickiej, „Trędowatą”, „Znachora” itp. W szafie było tego chyba na metr wysoko.

Lato minęło i trzeba było iść do szkoły. W wójtostwie zabrano mój „Arbeitsbuch” a dano „zaświadczenie repatriacyjne”, z którym mogłem jechać do Gdyni. Do Poznania dojechałem ciężarówką na workach z mąką, którą wieziono z nekielskiego młyna. W Poznaniu z wujkiem Jankiem poszliśmy na dworzec, aby wsiąść do pociągu jadącego do Gdańska. Był już tak oblepiony ludźmi, że nie było szans, aby się do niego dostać. Lokomotywa stała przy końcu peronowej wiaty. Wujek mówi: Wiesz, z tej wiaty to by można na lokomotywę skoczyć. Przy jego pomocy, z drugiej strony, po rynnie dostałem się na dach, a z niego skoczyłem na węglarkę pełną węgla. Palacz na mnie nakrzyczał, ale zapewniłem go, że przecież będę mu pomagał. Po godzinie ruszyliśmy. Łopatą też robiłem. Nawet mnie pochwalił. Maszynista nic nie mówił. W Laskowicach, gdy się wychyliłem przez okienko, to ludzie pytali: Panie, panie kiedy pojedzie? Jechaliśmy dwa dni. Do Gdyni dojechałem. Tak się skończyły moje nekielskie czasy.

Gdy służyłem w wojsku w Przemyślu w latach 1948-50 w JW 1923, spotkałem tam Wacka Hadadę z Nekli, który był kierowcą Zisa. W roku 1952 sekretarką rektora Wieczorowej Szkoły Inżynierskiej przy Politechnice Gdańskiej była bardzo miła pani, która wiedząc, że jestem z Nekli wspominała mile spędzone wakacje u kochanej cioci Rózi Żółtowskiej w Nekli. Żona mego brata, Lutka z domu Matysiak, też mile wspomina wakacje przedwojenne u swego wuja, właściciela tartaku w Nekli. W latach 1946-7 we władzach związkowych stoczni nr 13 w Gdyni też był ktoś z Nekli, ale nazwiska nie znałem. W latach siedemdziesiątych w Gdyni i Gdańsku służyli w WOP-ie Józef i Adam Tabaka, kapitan. Spotkał się z nimi Tadeusz Walenczak.





## **Wojtkowiakowie – informacje o rodzinie**

Marianna Cichońska i Józef Wojtkowiak pobrali się 21 stycznia 1894 r. w Targowej Górze. Wkrótce po ślubie zamieszkali w domu dla pracowników dworskich na Zawodziu w Nekli. Urodziło się im dziesięcioro dzieci. Pierwszych dwoje i ostatnie – zmarły w wieku niemowlęcym.

**Józef Wojtkowiak (senior)** \* 24.02.1869 w Stroszkach †08.01.1944 w Nekli. Ukończył szkołę powszechną we Wrześni. Pracował w majątku w Stroszkach, a po ślubie w Nekli, również jako robotnik rolny. W latach 1910-1914 jako robotnik z naboru pracował przy poszerzaniu Kanału Kilońskiego. W czasie I wojny światowej wcielony do piechoty kajzerowskiej walczył na froncie francuskim. Brał udział w największej bitwie I wojny nad Sommą w północnej Francji (1 lipca – 18 listopada 1916 r.) W listopadzie 1918 r. wybrany jako delegat do Polskiego Sejmu Dzielnicowego. Po wojnie w Polsce Odrodzonej pracował jako palacz w gorzelni i konserwator sprzętu. Zmarł w 1944 r. w Nekli.

**Marianna z Cichońskich Wojtkowiakowa** \*07.09.1874 r. w Targowej Górze †06.11.1959 w Gdyni. Ukończyła szkołę w Targowej Górze. Była córką gospodarza i pracowała na roli. Po zawarciu małżeństwa pracowała w majątku w Nekli. Była chwaloną gospodynią domową. Większość czasu spędzała w domu przy dzieciach i obrządku zwierząt. W czasie żniw, wykopków, czy innych pilnych prac polowych chodziła do prac w majątku. Obrabiała także ogród przydomowy i pole wydzielone każdej rodzinie w ramach deputatu.

W rodzinie urodziły się następujące dzieci:

**Michał Wojtkowiak** \*1896 †1896 (w niemowlęctwie)

**Ludwika Wojtkowiak** \* 1897 †1897 (w niemowlęctwie)

**Józef Wojtkowiak (junior)** \*20.02.1898 w Nekli  
†16.02.1979 w Plymouth, Wielka Brytania

Szkolę powszechną ukończył w Nekli. Czeladnikiem kowalskim został w Kostrzynie. Służbę wojskową pełnił w Cesarskiej Flocie Wojennej aż do demobilizacji po zakończeniu I wojny. W odrodzonej Polsce pełnił służbę w Marynarce Wojennej od 1920 do jej rozwiązania w Wielkiej Brytanii w 1947. Pływał w marynarce handlowej pod banderą panamską a następnie, aż do emerytury, pracował w stoczni Devonport w Plymouth. W 1950 otrzymał obywatelstwo Wielkiej Brytanii. Z żoną Henryką Patulską mieli syna Mariana Czesława (\*1927). W drugim małżeństwie z Ireną Ambrożewicz-Żurawską urodziła się w 1936 córka Wanda. (Artykuł na stronie 17)

**Jan Wojtkowiak** \* 09.12.1900 w Nekli

†16.05.1957 w Poznaniu

Szkołę powszechną ukończył w Nekli, następnie terminował u piekarza. Po zakończeniu I wojny światowej znalazł się w Poznaniu. Do wybuchu II wojny światowej pracował jako woźny sądowy w Sądzie Grodzkim w Poznaniu. Na początku okupacji wysiedlony z rodziną do Opatowa w Generalnej Guberni. Po wojnie wrócił do pracy na tym samym stanowisku. Pracował do śmierci w 1957 r. Żonaty z Zofią Kapcińską z Nekli. Mieli dwie córki Eugenię (\*1928) i Marię (\*1933).

Nekrolog z poznańskiej gazety:

W dniu 7-go maja 1957 roku zmarł Ś.† P. Jan Wojtkowiak, kierownik Sekretariatu Prezydialnego Sądu Wojewódzkiego w Poznaniu, odznaczony Brązowym Krzyżem Zasługi i Medalem 10-lecia. W Zmarłym tracimy wzorowego i cenionego pracownika oraz zacnego Kolegę. Pogrzeb odbędzie się w piątek, dnia 10 maja 1957 roku o godzinie 10.30 w kaplicy cmentarnej na Junikowie. Rada Miejsowa i Pracownicy Sądów w Poznaniu. (13310g).



Jan Wojtkowiak z żoną Zofią,  
córkami Marią i Eugenią oraz  
bratem Walentym.  
Poznań, ok. 1935 r.

Jan Wojtkowiak  
z rodziną Kapcińskich  
na Zawodziu w Nekli





Jan Wojtkowiak. 1956 r.



Jan Wojtkowiak z żoną Zofią  
i wnukiem Maciejem Jüngstem. 1957

**Ludwik Wojtkowiak** \*17.08.1904 w Nekli  
†04.05.1954 w Miastku

Szkolę powszechną ukończył w Nekli. Terminował u rymarza w Kostrzynie. Powołany do odbycia zasadniczej służby wojskowej w 70 p.p. w Pleszewie. Po zakończeniu służby zaciągnął się do Straży Granicznej. Pracował w Sierakowicach na Pomorzu. Wiosną 1939 r. wcielony do oddziałów Obrony Narodowej. Brał udział w walkach pod Wejherowem, Rumią i na Kępie Oksywskiej. Po kapitulacji dostał się do niewoli niemieckiej i przebywał w stalagach na terenie Niemiec, gdzie nabawił się gruźlicy. Po wojnie zamieszkał w Miastku. Pracował w spółdzielczości. Ożeniony z Łucją Świątek – Brzezińską. Bezdzietni.



Ludwik Wojtkowiak 4. od prawej w 1. rzędzie. Zdjęcie wyk. w Centralnej Szkole Straży Granicznej



Ludwik Wojtkowiak, 1931 r.  
w czasie kursu w Walewicach



Ludwik Wojtkowiak, 1931 r.



Ślub Łucji Świątek-Brzezińskiej i Ludwika  
Wojtkowiaka . Nekla, 1937

**Franciszek Wojtkowiak** \*27.11.1905 w Nekli

†22.09.1968 w Wieluniu

Szkolę powszechną ukończył w Nekli. Pracował w ogrodnictwie przy pałacu w Nekli. Powołany do odbycia służby wojskowej w Pleszewie. Po służbie skierowany do Straży Granicznej. Służył w strażnicy w Bezuli n/Prosną. Mieszkał w Dietrzkowicach. W czasie wojny obronnej wcielony do batalionu Obrony Narodowej. Dostał się do niewoli niemieckiej. Po wojnie pracował w Magistracie w Wieluniu. Zajmował się nadzorem handlu. Ożeniony ze Stanisławą Janowską. Mieli dwoje dzieci: Kazimierę (\*1936) i Bogdana (\*1946)



Franciszek Wojtkowiak



Franciszek Wojtkowiak  
w mundurze Straży Granicznej



Pierwszy od prawej Franciszek Wojtkowiak



Strażnica Bezula nad Prosną. Pierwszy z prawej  
Franciszek Wojtkowiak. Ok. 1937 r.



Ślub Stanisławy Janowskiej i Franciszka Wojtkowiaka. Dzietrzkowice, 10 II 1935



Od prawej Franciszek Wojtkowiak, jego żona Stanisława i najmłodszy z rodzeństwa - Walenty Wojtkowiak



Córka Kazia i Stanisława, żona Franciszka Wojtkowiaka. Naramnice, 1942.

**Anieli Wojtkowiak**, zamężna Walenczak \*12.08.1908 w Nekli  
†15.01.1988 w Gdyni

Szkolę powszechną ukończyła w Nekli. Pracowała jako panna kredenso-  
wa we dworze w Nekli. Po śmierci Henryki Wojtkowiakowej zaopiekowała się  
bratankiem Marianem Czesławem. W 1932 r. wyszła za mąż za Leona Walen-  
czaka, stelmacha z Kobylina. Wyjechali do Gdyni, gdzie Leon pracował przy  
budowie portu i w stoczni. Po wojnie był dokmistrem w Stoczni Marynarki  
Wojennej oraz budowniczym Kościoła Serca Jezusowego w Gdyni. Mieli troje  
dzieci: Tadeusza (\*1933), Józefa (\*1940 †2009), Romana (\*1947).

Wanda Troman w swoim opracowaniu genealogii rodzinnej zanotowała:

Ślub Anieli Wojtkowiak z Leonem Walenczakiem odbył się w Nekli w  
dniu 23 VIII 1932 r. Piękną suknię do ślubu kupił brat, Józef Wojtkowiak, w  
Deauville we Francji w sklepie panny Chanel. W tym czasie sławna kreatorka  
mody Coco Chanel zaczynała tam swoją karierę. Welon do ślubu niosła Euge-  
nia Wojtkowiak, a cała wieś wyszła na ulice podziwiać cudowną kreację.



Aniela Wojtkowiak (1908-1988)



Ślub Anieli Wojtkowiak i Leona Walenczaka.  
Nekla, 23 sierpnia 1932 r

**Tomasz Wojtkowiak** \*17.11.1910 w Nekli

†20.04.1940 zamordowany przez NKWD w Kalininie (dzisiajTwer). Pochowany w Miednoje.

Szkolę ukończył w Nekli. Po odbyciu zasadniczej służby wojskowej w 17 Pułku Ułanów w Lesznie pracował dorywczo w Nekli. W 1936 r. przyjęty do Policji Państwowej. Po ukończeniu szkoły policyjnej w Mostach, skierowany do służby w Wysokiem Litewskim. W 1939 trafił do niewoli sowieckiej. Zamordowany w Kalininie (Artykuł na stronie ...).



Tomasz Wojtkowiak w wojsku w Lesznie.  
1932



Tomasz Wojtkowiak, funkcjonariusz Policji  
Państwowej. Września 1937.



Wysokie Litewskie. Tomasz Wojtkowiak  
stoi po lewej stronie  
Na patrolu. Z lewej Tomasz Wojtkowiak





**Walenty Wojtkowiak** \*03.02.1913 w Nekli

†23.05.1992 w Poznaniu

Szkolę powszechną ukończył w Nekli. Po ukończeniu kursów administracyjnych został pisarzem gminnym w Kleszczewie. Na początku okupacji hitlerowskiej poszukiwany przez gestapo. Z rodziną brata Jana wysiedlony do Opatowa w Generalnej Guberni. Po wojnie studiował na Uniwersytecie Poznańskim. Żonaty z Walentyną Sadecką. Bezdzietni.

Nekrologi z gazet poznańskich:

*Z głębokim żalem zawiadamiamy, że w dniu 25 maja 1992 roku zmarł nasz kochany wuj i stryj Ś.† P. Walenty Wojtkowiak, lat 79. Pogrzeb odbędzie się w dniu 2 czerwca 1992 roku o godzinie 13.00 na cmentarzu junikowskim. Msza Święta Żałobna odprawiona zostanie 15 czerwca 1992 roku o godzinie 18.30 w kościele na Sołacz. W smutku pogrążona Rodzina. Prosimy o nieskładanie kondolencji. (68807g)*

*Z głębokim żalem zawiadamiamy, że w dniu 25 maja 1992 roku, po pracowitym i pełnym wielu trosk życiu, zmarł w wieku 79 lat Ś.† P. Walenty Wojtkowiak bardzo zasłużony dla „Społem”, długoletni Naczelnik Centralnego Związku – Wydziału Lustracji w Poznaniu, dyplomowany biegły księgowy, wyróżniony wieloma odznaczeniami państwowymi i resortowymi. Ostatnie pożegnanie odbędzie się we wtorek, 2 czerwca 1992 roku o godzinie 13.05 na cmentarzu junikowskim. Rada Nadzorcza, Zarząd i pracownicy „Społem” Spółdzielni Wczasowo-Leczniczej „Wypoczynek” w Poznaniu oraz grono kolegów i znajomych. (333-K3)*



Młody Walenty Wojtkowiak



Walenty Wojtkowiak (1913-1992).  
Kleszczewo, pisarz gminny w latach 30-tych



Ślub Walentyny Sadeckiej i Walentego Wojtkowiaka. Opatów, 5 lipca 1942



Józef senior z synem Walentym na drodze  
do Starczanowa

**Wincenty Wojtkowiak** \* 1915 †1915 (w niemowlęctwie)

## Zakończenie

W dniu 8 czerwca 2013 r. odbyła się uroczystość podsumowująca projekt „Ślady pamięci. Wojtkowiaków służba ojczyźnie”. Wzięli w niej udział potomkowie Marianny i Józefa (seniora) Wojtkowiaków, reprezentujący kolejne pokolenia rodzin ich synów Józefa, Jana, Franciszka oraz córki Anieli Walenczak. Mieszkają w Wielkiej Brytanii oraz różnych częściach kraju; Gdyni, Zgierzu, Poznaniu.

Świętowanie rozpoczęło w kościele pw. św. Andrzeja Apostoła w Nekli uroczystą mszą św. w intencji poprzednich pokoleń rodziny Wojtkowiaków. Po jej zakończeniu z kościoła wyruszył, przy akompaniamencie Orkiestry Dętej Nekielskiego Ośrodka Kultury, orszak złożony z pocztów sztandarowych, delegacji reprezentujących władze różnych szczebli, instytucji i stowarzyszeń działających na terenie Gminy oraz licznie zgromadzonych mieszkańców. Trasa przemarszu wiodła ulicami Poznańską, Rynek na ul. Zawodzie 20, gdzie na budynku, w którym przez ponad pół wieku mieszkali Wojtkowiakowie, odsłonięto i poświęcono tablicę pamiątkową następującej treści:

*„Tym, którzy ojczyźnie służyli...”*

W tym domu w okresie zaboru pruskiego, międzywojnia i okupacji hitlerowskiej mieszkała

### RODZINA WOJTKOWIAKÓW

rodzice:

**Marianna (1874-1959) i Józef (1869-1944)** – *delegat do Polskiego Sejmu Dzielnicowego w Poznaniu w grudniu 1918 r.*

oraz ich dzieci:

**Józef (1898-1979)** – *porucznik marynarki, członek komisji nadzorujących budowę okrętów dla Polskiej Marynarki Wojennej w stoczniach Francji, Wielkiej Brytanii i Holandii. W latach II wojny światowej drugi oficer mechanik na ORP Garland i ORP Piorun.*

**Jan (1900-1957)** – *pracownik Sądu Grodzkiego w Poznaniu, wysiedlony do Opatowa w GG*

**Ludwik (1904-1954)** – *służył w Komisariacie Granicznym Straży Granicznej w Sierakowicach, żołnierz września 1939, jeniec stalagów na terenie Niemiec*

**Franciszek (1905-1968)** – *służył w Komisariacie Granicznym Straży Granicznej w Dietrzkowicach, żołnierz września 1939*

**Aniela (1908-1988)** Walenczak – *mąż pracował przy budowie portu w Gdyni, a po wojnie w Stoczni Marynarki Wojennej*

**Tomasz (1910-1940)** – *aspirant Policji Państwowej w Wysokiem Litewskim, zamordowany przez sowietów w Twerze, pochowany w Miednoje*

**Walenty (1913-1992)** – *pisarz Gminy w Kleszczewie, poszukiwany przez gestapo, ukrywał się w Opatowie w GG*

Spółceństwo Gminy Nekla

Nekla, 8 czerwca 2013 r.

Po krótkich przemówieniach i złożeniu kwiatów zebrani udali się na plac rekreacji, naprzeciwko stawu. Tutaj, w ramach ogólnopolskiej akcji „Katyń...ocalić od zapomnienia”, posadzony został Katyński Dąb Pamięci aspiranta Tomasza Wojtkowiaka. Obok dębu na specjalnej tablicy widnieje napis:



#### DAŁ PAMIĘCI

posadzony dla uhonorowania aspiranta Policji Państwowej Tomasza Wojtkowiaka s. Marianny i Józefa, ur. 18 listopada 1910 r. w Nekli, zamordowanego strzałem w tył głowy przez NKWD w Twerze w kwietniu 1940 r.

Program „Katyń...ocalić od zapomnienia”

4385/13695/WE/2013

Kolejnym etapem uroczystości było otwarcie w Nekielskim Ośrodku Kultury wystawy fotografii „Ślady pamięci. Wojtkowiaków służba ojczyźnie”, prezentującej na licznie zgromadzonych fotografiach historię rodziny Wojtkowiaków. Zdjęcia pochodzą ze zbiorów Wandy Troman i Mariana Wojtkowiaka, dzieci por. mar. Józefa Wojtkowiaka, Tadeusza i Romana Walenczaków, synów Anieli, Bogdana Wojtkowiaka, syna Franciszka Wojtkowiaka oraz Macieja Jüngsta, wnuka Jana Wojtkowiaka, a także ze zbiorów Mariusza Borowiaka i Narodowego Archiwum Cyfrowego. Za udostępnienie tych zdjęć serdecznie dziękujemy.

Po zapoznaniu się z wystawą fotografii uczestnicy uroczystości wysłuchali wykładu pisarza marynisty, pana Mariusza Borowiaka, pt. „Służba Józefa Wojtkowiaka w Polskiej Marynarce Wojennej w latach 1920-1947”. Biografia Józefa Wojtkowiaka była okazją do zaprezentowania dziejów Polskiej Marynarki Wojennej od jej powstania w 1920 r. w Modlinie do rozwiązania w Wielkiej Brytanii 23 sierpnia 1947 roku.

W poniedziałek 3 czerwca 2013 roku w Gimnazjum w Nekli odbyło się spotkanie p. Jerzego Ziółkowskiego, sekretarza Zarządu Oddziału Związku Sybiraków w Poznaniu i członka Stowarzyszenia „Rodzina Policyjna 1939” z młodzieżą. Pan Jerzy, syn przodownika Policji Państwowej, zamordowanego przez NKWD w 1940 r. i pochowanego na cmentarzu w Bykowni pod Kijowem na Ukrainie, opowiedział o służbie ojca w Policji Państwowej przed wojną i losach rodziny zesłanej 13 kwietnia 1940 r. do Kazachstanu. A także o historii odnalezienia symbolicznego grobu ojca podczas otwarcia cmentarza w Bykowni w 2012 roku.

\* \* \*

O tożsamości lokalnych społeczności decydują minione pokolenia i ich dokonania. Dobrze, jeśli te dokonania przekazuje się z pokolenia na pokolenie. Upływ czasu i zmienne koleje losu sprawiają, że często nie ma kontynuacji w tym naturalnym procesie przekazywania wiedzy o minionych czasach i pokoleniach. Pozostają tylko na pozór mało istotne strzępy informacji, stare fotografie i dokumenty, pożółkłe zapiski, czasem wspomnienia lub artykuły ze starych gazet. Te szczątkowe ślady pozwalają na odtworzenie i uwiecznienie tego co ważne w życiu poszczególnych rodzin. Zbiór takich obrazów tworzy historię lokalnej społeczności.

Realizując nasz projekt i przekazując czytelnikowi tę publikację podjęliśmy próbę stworzenia bardziej wyraźnych dla kolejnych pokoleń, nowych śladów pamięci o patriotycznie usposobionej rodzinie Wojtkowiaków, która do niedawna nie istniała w zbiorowej świadomości naszego społeczeństwa. Podobnych rodzin w naszym środowisku jest wiele. Mamy nadzieję, że przywołane tutaj wydarzenia, miejsca i ludzie będą inspiracją do podejmowania poszukiwań historycznych w każdej nekielskiej rodzinie. Dzięki nim przetrwa pamięć o minionych pokoleniach w indywidualnej (rodzinnej) i zbiorowej świadomości.

Nie umiera ten, kto trwa w pamięci żywych.

*Jerzy Osypiuk*

zapraszają  
na uroczystość  
**Ślady**  
pamięci.  
Wojtkowiaków

szużba  
ojczyźnie

sobota  
08 2013 r.  
czerwca



**Program uroczystości:**

- \* 16.30 Msza Święta  
w intencji poprzednich pokoleń pamiętnych Wojtkowiaków – kościół św. Andrzeja Ap. w Nekli
- \* odświeżenie i poświęcenie tablicy upamiętniającej rodzinę Wojtkowiaków  
na domu przy ul. Zawodzie 20
- \* Posiedzenie Katyjskiego Dębu Pamięci Tomasza Wojtkowiaka,  
ambasadora Polityki Państwowej, zamordowanego przez NKWD w Kalininie (Twerze), pochowanego w Międzinie
- \* Otwarcie wystawy fotografii „Ślady pamięci. Wojtkowiaków służba Ojczyźnie”
- \* Spotkanie z pisarzem martynistą Mariuszem Borowiakiem i prelekcja  
„Służba Józefa Wojtkowiaka w Polskiej Marynarce Wojennej w latach 1920-1947”
- \* Po spotkaniu możliwość zakupu książek p. Mariusza Borowiaka





Znajomość historii i losów dawnych mieszkańców Nekli jest bardzo ważnym elementem budowania tożsamości i patriotyzmu współczesnych obywateli naszego miasta i gminy. W szczególności młodego pokolenia.

Celem projektu „Ślady pamięci. Wojtkowiaków służba ojczyźnie” jest uświadomienie mieszkańcom ciągłości historycznej pokoleń. Wojtkowiakowie pojawili się w Nekli w połowie ostatniej dekady XIX wieku.

W okresie zaboru pruskiego, międzywojnia i okupacji hitlerowskiej mieszkali na Zawodziu. Tutaj prowadzili zwyczajne życie. Jednak los sprawił, że stali się uczestnikami wydarzeń historycznych, znaczących w dziejach naszego kraju. Dzisiaj są podręcznikowymi postaciami godnymi upamiętnienia.

**Józef Wojtkowiak** (senior) – delegat do Polskiego Sejmu Dzielnicowego w Poznaniu w grudniu 1918 roku oraz jego synowie:

**Tomasz** - posterunkowy Policji Państwowej, zamordowany przez NKWD w Twerze,

**Józef** - porucznik marynarki, pracujący w komisjach nadzorujących budowę okrętów dla Polskiej Marynarki Wojennej w stoczniach Francji, Wielkiej Brytanii i Holandii, a w czasie wojny członek załóg ORP Garland i ORP Piorun,

to osoby do niedawna zupełnie zapomniane w naszym środowisku. Zaslugują na pamięć kolejnych pokoleń.

**Jerzy Osypiuk**

Nekielskie Stowarzyszenie Kulturalne

PATRONAT HONOROWY



PARTNER PROJEKTU



ISBN 978-83-63036-19-5